

MAGAZYN *razem z dodatkami*



Opowieść o Kazimierzu Deynie: Miał łzy w oczach, chciał wrócić do Polski
● Mariusz Gadomski o zbrodni pod Zamościem ● Józef Piłsudski, towarzysze z PPS i wielka gra wywiadów
PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów

kurier lubelski

Piątek-Niedziela 30.01-1.02.2026 | Nr. 13 (18.189) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Kod PIN zamiast urzędnika. Ułatwienie dla kierowców w wydziale komunikacji **str. 4**



Rozeszły się drogi Teatru im. J. Osterwy z Ministerstwem Kultury. Dotacji nie będzie **str. 3**

Przemoc w rękawiczkach. Karetka miała być ratunkiem, a stała się miejscem tragedii Olka **str. 14**

Nr ISSN 2353-6136 Nr indeksu 350-32X



Schroniska dla zwierząt. Prawdziwy horror, a może smutna rzeczywistość? **str. 6 i 10**

Norbi opisał historię swego uzależnienia: Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie **str. 18**

Kardynał Konrad Krajewski: Zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się **str. 16**



Klamka zapadła. Kolegium i szkoła policyjna znikną z ulicy Sulistawickiej. Protesty zdały się na nic **STR. 5**



Motor wraca do gry. Piłkarze i kibice czekali półtora miesiąca na mecz ligowy. Ale czy planów nie pokrzyżuje siarczysty mróz? **STR. 32**

Arlena Sokalska

JAK ZOSTAĆ KRÓLEM WSZECHŚWIATA



Do Rady Pokoju wymyślonej przez Donalda Trumpa przyłączyło się już kilkanaście państw, Biały Dom ujawnił aktualną listę – od Albanii i Arabii Saudyjskiej po Węgry, Wietnam i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Nie, Belgii na tej liście już nie ma. I nigdy nie było, po prostu Biały Dom pomylił Belgię z Białorusią, która przystała do rady. Oj tam, oj tam, Belgia czy Białoruś, kto w Ameryce przejmowałby się takimi drobiazgami.

Nie wiadomo, kto z wielce szanownych członków Rady Pokoju zapłacił ten miliard dolarów, który ma gwarantować stałe członkostwo w tym ciele, a kto tylko się zapisał. Zapewne, jak już się ktoś zapisze, może spodziewać się nacisków, by jednak zapłacił. Bo bez tego cała idea rady się rozpada, bo za coś trzeba przecież funkcjonować.

A czym ma być Rada Pokoju? Zastąpić skostniały i właściwie działający bez ładu i składu ONZ, który nie jest w stanie działać ani przyjmować nawet żadnych rezolucji, bo przecież Rosja wszystko blokuje. Jak twierdzą złośliwi, Rada Pokoju ma uczynić z Donalda Trumpa króla wszechświata, po tym, jak już przestanie być prezydentem. Stanami Zjednoczonymi miałyby kierować nowy prezydent – według pomysłu Trumpa – oczywiście republikanin. A kto kierowałby nowym prezydentem? Tak, zgadliście – szef Rady Pokoju, czyli Donald Trump.

Inni twierdzą, że poprzez działania agentów ICE, którzy zabijają Amerykanów, Trump zamierza doprowadzić Stany Zjednoczone do wrzenia, a może nawet do czegoś w rodzaju wojny domowej. O to nietrudno, wszak bronni tam mają dostatek. A to z kolei doprowadziłoby do wprowadzenia stanu wyjątkowego, kiedy to można nie organizować wyborów. I kto rządziłby dalej? Oczywiście Donald Trump, na dodatek mający za sobą całą Radę Pokoju. Scenariusze fantastyczne? Zdecydowanie, ale to, co dzieje się w ostatnich latach sprawia, że z uwagą należy rozpatrywać nawet takie political fiction.

Ale większą obawę budzi sztuczna inteligencja w służbie polityki. Nie tak dawno grupa naukowców połączonych sił z Berkeley, Harvardu, Oksfordu, Cambridge i Yale (na czele grupy stoi laureatka Pokojowej Nagrody Nobla i aktywistka na rzecz wolności słowa Maria Ressa) ostrzegła, że roje agentów AI (sztucznej inteligencji) naśladujących ludzi, mogą zmienić opinię publiczną w sposób zagrażający demokracji. Artykuł opublikowany w prestiżowym „Science” pokazuje przykłady, jak to działa. Roje botów zalewają media społecznościowe tonami nieprawdziwych treści, bierze udział w dyskusjach, a nawet cytuje nieprawdziwe artykuły. - To po prostu przerażające, jak łatwo jest stworzyć kod i mieć małą armię botów, które potrafią poruszać się po platformach społecznościowych i korzystać z poczty elektronicznej oraz używać tych narzędzi – mówi Daniel Thilo Schroeder, naukowiec z instytutu badawczego Sintef w Oslo, który symulował roje w warunkach laboratoryjnych.

Bajka dla grzecznych dzieci? A gdzie, tam! To nasza codzienność. Niedawno agencja badawcza Smartscope, na zlecenie stowarzyszenia Praktyków Transformacji Cyfrowej Praktycy.eu przeprowadziła badania, z których wynika, że aż 45 procent respondentów przyznaje, że widzi nieprawdziwe treści w serwisach, takich jak Facebook, Instagram czy TikTok, z czego co piąty – stale. Ale większość badanych przyznaje, że bardzo często nie jest w stanie odróżnić fałszu od prawdy.

W tej sytuacji wizja jakiejś Rady Pokoju i jakiegoś „króla wszechświata” jest znacznie mniej niepokojąca, niż wizja wyborów np. w jakimś kraju średniej wielkości w centrum Europy, przed którymi roje botów zewnętrznych (Rosja) i wewnętrznych prowadziłyby kampanie oparte na kłamstwie i dezinformacji.

Adam Bula

GORĄCZKA ZŁOTA ZMIATA PORZĄDEK ŚWIATA



Nadchodzi moment, gdy świat zmusi nas, byśmy się przestali zajmować dupelami w stylu kłótni pogrobowców Hołowni albo kwestii, kto pójdzie, a kto nie do prezydenta. Trwa największa w historii gorączka złota, która na naszych oczach zmienia światowy porządek. Na naszych oczach, choć uparcie na to nie patrzymy.

Złoto drożeje od kilkunastu miesięcy, w styczniu robiąc już pionową kreskę na wykresach. Nie ma sensu podawać jego aktualnej ceny, bo z dnia na dzień rośnie ona o kilka procent. To są szalone liczby i szalone rzeczy dzieją się w świecie finansów – a ten zawsze wyprzedza to, co zobaczymy w realnej gospodarce. I wtedy na pewno tego nie przeoczymy.

Technicznie to, że za uncję złota płacimy ponad 5500 dolarów, a dwa lata temu kosztowała ona 2 tys., tłumaczy się tym, że banki centralne pozbywają się obligacji, zwłaszcza amerykańskich i lokują je w kruszcu (bo srebro odpaliło podobnie, drożąc w rok z ok. 30 dolarów za uncję do poziomu 117 dolarów). Z amerykańskich obligacji odpłynęło już pół biliona dolarów wycofywanych tylko przez inne kraje – i to ta kasa poszła w złoto i srebro. A to było jeszcze, zanim Trump wywołał awanturę o Grenlandię, na co kraje Europy zagroziły, że wyjdą z amerykańskich obligacji „po całości”. Bo Ameryka, której gigantyczne zadłużenie (35 bilionów dolarów) finansowane jest przez resztę świata, dokłada od roku przeciwieństwo, żeby ich papiery przestały być uważane za bezpieczną lokatę. Więc równoległe z drożącym złotem widzimy osłabienie dolara do wszystkich innych walut, zwłaszcza do euro. Ale i w Polsce za 1 \$ już tylko 3,5 PLN.

Takie rzeczy działy się na światowych rynkach od zawsze, ale niemal nigdy w tak gigantycznej skali, która może oznaczać realną zmianę paradygmatu. Mówiąc po ludzku: musimy przypomnieć sobie, co to jest pieniądź fiducjarny i zrozumieć, że właśnie nie bardzo wiadomo, co z nim będzie dalej.

No dobra, nie będę udawał mądrzejszego, mając wujka Googla pod palcem; pieniądź fiducjarny to środek płatniczy, nieposiadający pokrycia w do-

brach materialnych (np. złoto). Era pieniądza mającego jakiegokolwiek pokrycie w czymkolwiek namacalnym skończyła się w 1971 r., gdy Nixon uwolnił dolara z parytetu złota (pokrycia przynajmniej części jego wartości w realnie posiadanych sztabkach). Dzisiaj 100 złotych to paperek trochę ładniejszy od opakowania batonów, którego wartość opiera się na umowie, że on jest wart 100 zł. Dolar ma tak samo. I dopóki wierzymy prezesowi naszego banku centralnego, że on też będzie uważał jutro, że ten paperek jest wart 100 złotych, to system się kręci.

Wiele wskazuje na to, że świat przestaje wierzyć Amerykanom, że ich 100 dolarów będzie za chwilę dalej warte 100 dolarów, więc się go pozbywa. I dlatego dziś 100 dolarów jest warte o 13% mniej niż rok temu (o tyle dolar potaniał wobec innych głównych walut). Co... tym bardziej zachęca wszystkich do jego sprzedaży, co... osłabia dolara jeszcze bardziej, jeszcze bardziej nakręcając popyt na realny kruszec. Tylko że skala tego zjawiska właśnie przebija sufit.

Na razie Donald Trump oficjalnie ze słabego dolara się cieszy, bo na krótką metę mu to pasuje. Zwłaszcza na amerykańskiej giełdzie, która w jego propagandzie jest głównym odniesieniem, czy coś idzie dobrze czy źle. A główny indeks S&P500 (500 największych firm notowanych na giełdzie USA) pobija rekordy, pokonując barierę 7 tys. punktów. Tyle że jeśli nałożyć na to zmianę wartości dolara, to indeks będzie... tysiąc punktów niżej. No ale tego nie usłyszysz ichniejszy Kowalski.

Aha, a jeszcze nie dodaliśmy najważniejszego. Świat opiera się na kolorowych papierkach, co do których umawiamy się, ile są warte. Ale to było dawno. Bankierzy wymyślili, że na każdy taki paperek, który mają w skarbcu, mogą w księgach dodać sobie 30 papierków, których nie mają, ale które nam pożyczą na procent. Dziś sumę tych „pieniędzy”, które są tylko dłużnym zapisem i nie mają pokrycia nawet w papierze, szacuje się na 500 bilionów dolarów.

Chodzi o to, że wielki kryzys z 2008 r. zaczął się od małego wycinka tego wirtualnego szaleństwa. Amerykańskie banki produkowały papiery „wartościowe”, mające mieć pokrycie w wartości amerykańskich nieruchomości, tylko tyle ich nie produkowały, że to pokrycie całkowicie zniknęło (polecam genialny film „Big short”).

Dzisiaj wiele wskazuje na to, że nadchodzi kolejny wielki reset, tym razem dotyczący całego systemu światowych finansów. W każdym razie wszyscy, którzy wiedzą więcej, jak szaleni kupują złoto.

Sytuacja jest - nie tylko wokół Polski, ale w wymiarze globalnym - bardzo dynamiczna i ta niepewność strategiczna, która towarzyszy nam od wielu, wielu miesięcy, wywołana wojną w Ukrainie, (...) także innymi dramatycznymi zdarzeniami, wymaga bardzo poważnej geopolitycznej refleksji i bardzo adekwatnego myślenia o polskiej dyplomacji

nasz REGION

LUBLIN

Szczęśliwy finał poszukiwań 10-latka

W środę policjanci prowadzili poszukiwania 10-letniego chłopca. Około godziny 17:30 chłopiec wyszedł z domu w nieznanym kierunku. Nie miał przy sobie telefonu. Informacja o zaginięciu została opublikowana w mediach. Przed godziną 21:00 chłopca zauważył kierowca przejeżdżający drogą na obrzeżach Lublina. Mężczyzna zareagował właściwie i pomógł 10-latkowi, przekazując go pod opiekę dorosłych. JS



FOT.

POWIAT BIALSKI

Wypadek w lesie

Podczas prac związanych z wycinką drzew 66-letni mężczyzna został uderzony przez spadający konar. Przewieziony został do szpitala, jednak jego życia nie udało się uratować. LUB

Rozeszły się drogi Teatru im. J. Osterwy z ministerstwem kultury. Dotacji nie będzie

Joanna Jastrzębska
Lublin

Choć umowa między samorządem woj. lubelskiego a Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego o współprowadzeniu Teatru Osterwy wygasła wraz z końcem 2025 r., to wiceszefowa resortu twierdzi, że z urzędem marszałkowskim wciąż toczą się rozmowy. Urząd jednak nic o nich nie wie.

Umowa o współprowadzeniu Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie została zawieszona w marcu 2023 r. Wygasła 31 grudnia 2025 r. Na jej mocy MKiDN zobowiązało się do częściowego finansowania działalności insty-



FOT. MALGORZATA GENCA

Ministerstwo kultury zobowiązało się dotować teatr kwotą nie mniejszą niż 1,9 mln zł rocznie

tucji, wpłacając rocznie nie mniej niż 1,9 mln zł. Z umowy wywiązywało się z nawiązką: w 2023 r. wpłaciło blisko 1,973 mln, w 2024 r. 2,457 mln, a w minionym 2,437 mln. Całkowity budżet teatru wynosił 11,958 mln zł.

O tym, że będzie trudno przedłużyć współpracę, wiadomo było już w czerwcu. Ministerstwo poinformowało wówczas, że decyzja została podjęta „w wyniku braku konstruktywnego dialogu między Teatrem i współprowadzającymi”. Kiedy jednak zapytaliśmy o dokładniejsze przyczyny podczas poniedziałkowej wizyty w Lublinie wiceministry Bożeny Żelazowskiej (PSL), ta odpowiedziała: - Myślę, że rozmowy trwają i będziemy jeszcze dochodzili do najlep-

szych wniosków, takich, które będą dobre dla instytucji.

Zarządzający nią urząd marszałkowski o żadnych prowadzonych rozmowach nie wspomina: - Województwo lubelskie jako organizator Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie podjęło kroki zmierzające do kontynuacji współprowadzenia tej instytucji kultury. Zadeklarowało chęć dalszej współpracy z MKiDN, jednakże MKiDN nie było zainteresowane dalszym wspólnym prowadzeniem - informuje Anna Nycz z zespołu prasowego urzędu marszałkowskiego.

Na to, że rozmowy już nie trwają, wskazuje też ogłoszenie konsultacji społecznych w sprawie nadania statutu Teatrowi

Osterwy. Do 6 lutego mogą zabierać w nich głos organizacje pozarządowe i podmioty, których działalność statutowa dotyczy kultury. Uwagi i opinie można słać na adres ked@lubelskie.pl.

Proponowane zmiany w statucie nie są duże. W praktyce: wszystkie decyzje, tak jak przed 2023 r., podejmować będzie organ prowadzący, czyli urząd marszałkowski. Ministerstwo nie będzie już dokładać się do działalności teatru, więc nie będzie też akceptować lub blokować decyzji o powierzeniu obowiązków dyrektorskich, tak jak było to w przypadku Krzysztofa Adamczuka, którego marszałek powołał bez konkursu. Jego kadencja kończy się 31 sierpnia. ©©

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

Morskie wiatraki pod lupą

W tym roku na Bałtyku znacznie działać pierwsza polska morska farma wiatrowa - Baltic Power. To ważny krok w rozwoju krajowej energetyki i projekt, który budzi duże zainteresowanie. Wraz z nim pojawia się wiele obiegowych opinii. Sprawdzamy, które z nich mają potwierdzenie w faktach, a które są tylko mitami - oraz co morska energetyka wiatrowa oznacza dla gospodarki, środowiska i odbiorców energii.

Czy morska energetyka wiatrowa jest stabilna i efektywna?

Zanim wyznaczysz się lokalizację morskich farm wiatrowych, prowadzone są wielomiesięczne badania wietrzności. Pozwalają sprawdzić, jak zmieniają się warunki w różnych porach roku i czy dana lokalizacja jest stabilna oraz opłacalna. Dlatego opinie niestabilności morskiej energetyki trudno uznać za uzasadnione. W rzeczywistości warunki na morzu są bardziej przewidywalne niż na lądzie, a nowoczesne turbiny mogą być nawet dwa razy bardziej wydajne niż lądowe. Nie ma też ryzyka, żeby turbiny „kradły sobie wiatr”. Takie kwestie są eliminowane już na etapie

projektu, m.in. dzięki odpowiednim odległościom. Stabilny i mocny wiatr na morzu umożliwia produkcję dużej ilości energii przez większość roku. Dlatego Baltic Power nie zastąpi w całości dotychczasowych źródeł energii, ale jest ważnym elementem miksu energetycznego.

Z punktu widzenia fizyki, nie ma też możliwości, aby energia, która pochodzi z farm wiatrowych - morskich i lądowych - była słabsza niż ta z elektrowni węglowych. Elektryki dostarczane do gniazdek odbiorców są identyczne, niezależnie od miejsca wytworzenia.

Koszty prądu z morskich elektrowni wiatrowych

Często podnoszony argument o wysokich kosztach morskiej energetyki wymaga rozróżnienia dwóch perspektyw. Pierwsza to cena energii dla odbiorcy. Gdyby Baltic Power już dziś dostarczała prąd do sieci, jego cena byłaby o około 10 proc. niższa niż ta notowana na rynku SPOT. Drugi poziom to bilans dla całej gospodarki - nowe miejsca pracy, rozwój krajowego przemysłu, napływ kapitału oraz uniknięte emisje, które zmniejszają koszty związane z opłatami klima-

tycznymi. Przykładem jest fabryka gondoli turbin Vestas w Szczecinie.

Skąd naprawdę pochodzą turbiny Baltic Power?

Wokół inwestycji pojawił się także mit o wykorzystywaniu „użytych turbin z Niemiec”. W rzeczywistości takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Turbiny są projektowane od podstaw pod konkretne warunki lokalizacji i nie mogą być przenoszone z jednej farmy na drugą. W Baltic Power zastosowano nowe turbiny duńskiego producenta Vestas, a ich kluczowe elementy - gondole - produkowane są w Szczecinie. To przykład tego, jak globalna technologia zaczyna być realnie osadzona w polskim przemyśle.

Baltic Power a turystyka, środowisko i lokalne społeczności

Obawy dotyczące wpływu farm wiatrowych na turystykę i środowisko naturalne pojawiają się niemal zawsze. Tymczasem Baltic Power powstaje aż 23 km od brzegu, co oznacza, że turbiny dla wypoczywających na plażach turystów będą ledwo widoczne. Ich pracy nie będzie słychać z plaży. To oznacza, że obecność

farm nie wpłynie na ich doświadczenia, a finalnie na ruch turystyczny w pobliskich miejscowościach. Co więcej, inwestycja nie koliduje też z miejscami uwielbianymi przez windsurferów czy kitesurferów, którzy coraz chętniej wybierają właśnie polskie wybrzeże jako swój kierunek.

Nie tylko turyści są w tej inwestycji brani pod uwagę. Na etapie budowy projekt objęty jest szczegółowymi badaniami środowiskowymi, a prace na morzu monitorują wyspecjalizowane jednostki. Stosowane są rozwiązania m.in. ograniczające hałas pod wodą w trakcie instalacji fundamentów, takie jak kurtyny powietrzne, które chronią życie morskie oraz zapewniają komfort życia mieszkańców. Na farmie będzie również zainstalowany monitoring ruchu ptaków migrujących. Jak to działa? Jeśli radar wykryje stado ptaków zbliżających się do turbin, system na czas ich spodziewanego przelotu wstrzyma pracę turbin, by ptaki mogły bezpiecznie przelecieć przez teren farmy.

Projekt od początku rozwijany jest też w dialogu z branżą rybacką. Z początkiem 2026 wystartowała druga runda naboru wniosków



0011467472

o rekompensaty dla rybaków, których działalność została ograniczona w trakcie prac instalacyjnych, wyprzedzając obowiązujące regulacje.

Kto korzystana energii z morza?

Choć morska energetyka wiatrowa to sektor o międzynarodowym charakterze, w Baltic Power znaczący udział mają polskie firmy. Lokalny wkład do projektu wynosi co najmniej 21 proc. w całym cyklu życia farmy - od projektowania i budowy, po 30 lat eksploatacji. W Polsce wyprodukowano elementy konstrukcyjne, gondole, części turbin, kable lądowe, komponenty stacji elektroenergetycznych, a krajowe firmy odpowiadały za budowę lądo-

wej stacji elektroenergetycznej w gm. Choczewo i bazy serwisowej w Łebie. Zapewniały także usługi logistyczne, transportowe, realizowały badania geotechniczne.

Baltic Power nie jest więc jedynie inwestycją energetyczną. To projekt, który realnie wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski, wspiera rozwój nowego przemysłu i sprzyja długofalowej stabilizacji cen energii - niezależnie od narracji krążących dziś w debacie publicznej. Co więcej, Baltic Power to dopiero pierwszy projekt tego typu w naszym kraju. Jego moc - blisko 1,2 GW - to ważny krok, a potencjał polskiej części Bałtyku sięga nawet ponad 30 GW, z czego na 18 GW są już przyznane koncesje.

Mężczyzna zaatakował 12-letnią dziewczynkę w czasie koncertu?

Jakub Sarek
Lublin

- Moja 12-letnia córka, wraz ze swoją starszą siostrą wybrała się na niedzielny koncert Skolim w Lublinie. Złapała rzuconą przez artystę ze sceny koszulkę. Wtedy ok. 30-letni mężczyzna zaczął ją podduszać i wyrwał mojemu dziecku koszulkę - powiadomiła nas Czytelniczka.

W niedzielę w ramach lubelskiego 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy przed Galerią Olimp odbył się koncert Skolim. W pewnym momencie Skolim rzucił ze sceny koszulkę. Trafiła w ręce 12-latkę.

- Chwilę po tym, gdy złapała koszulkę, od tyłu chwycił ją ok. 30-letni mężczyzna i zaczął ją podduszać. W ten sposób chciał ją zmusić do oddania koszulki. I to mu się udało. Moja starsza córka próbowała mu przeszkodzić, popychała go, krzyczała, aby przestał. Na nic to się zdało. Mężczyzna z tą ko-

szulką zniknął w tłumie i się oddalił - opowiada nasza Czytelniczka. - Córka nie mogła złapać oddechu. Ze względu na to, że cierpi na astmę oskrzelową, takie podduszanie jest dla niej podwójnie niebezpieczne. Nie mogła się uspokoić.

Zaraz po zdarzeniu do naszej Czytelniczki zadzwoniła starsza córka. - Przed moim przyjazdem na miejsce, dziewczynki zgłosiły się do znajdujących się w pobliżu policjantów. Funkcjonariusze wezwali karetkę - mówi nasza Czytelniczka. 12-latkę zajęli się medycy. Jak przekazała nam matka, z córką wszystko jest w porządku.

Podjętą przez mundurowych interwencję potwierdza podinsp. Kamil Gołębiowski, rzecznik Komendy Miejskiej Policji w Lublinie. - Sprawa nie została zgłoszona ochronie koncertu. Po opuszczeniu imprezy masowej, takie zawiadomienie trafiło do pobliskiego patrolu policji. Prowadzimy czynności wyjaśniające w kierunku naruszenia nietykalności cielesnej 12-latkę. Przesłuchamy też jej mamę - informuje podinsp. Gołębiowski.

Kod PIN zamiast urzędnika. Ułatwienie dla kierowców

Artur Jurkowski
Lublin

Przy wejściu do budynku Wydziału Komunikacji przy ul. Czechowskiej 19A stanął urzędomat. To nowość w funkcjonowaniu lubelskiej administracji.

- Działa 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, umożliwiając swobodny odbiór dokumentów poza godzinami pracy urzędu - informuje Justyna Góźdz, rzecznik prasowy prezydenta Lublina.

System jest intuicyjny w obsłudze i działa podobnie do automatów paczkowych. W urzędzie można odebrać dokumenty wystawione przez Wydział Komunikacji UM Lublin.

● stały dowód rejestracyjny po przerejestrowaniu pojazdu (jeżeli dotychczasowy dowód został w urzędzie i nie zostało wydane pozwolenie czasowe)

● nowe prawo jazdy po wymianie

● wtórniki prawa jazdy



Zakup urzędomatu kosztował lubelski ratusz 122 754 zł. Stanął przy ul. Czechowskiej 19A

● wtórniki dowodu rejestracyjnego (po zagubieniu lub zniszczeniu)

● nowy dowód rejestracyjny po wymianie (brak miejsca na badania techniczne lub zmiana danych)

● dodatkowa tablica rejestracyjna na bagażnik

Jak to działa?

- Proces jest prosty i wygodny. Podczas wizyty w urzędzie należy dołączyć do wniosku oświadczenie o wyborze odbioru dokumentu w urzędzie oraz podać aktualny numer telefonu. W przypadku załatwiania sprawy przez pełnomocnika pełnomocnictwo musi jednoznacznie wskazywać, że upoważnienie obejmuje również odbiór dokumentów z urzędomatu. Można zaznaczyć konieczność skorzystania ze skrytki o łatwej dostępności, np. dla osób z niepeł-

nosprawnością ruchową - opisuje Justyna Góźdz. Po przygotowaniu dokumentu do odbioru urzędnik wyśle do nas SMS z kodem PIN. Od tego czasu jest 48 godzin na odbiór. - Jeżeli dokumenty nie zostaną odebrane w ciągu 48 godzin, zostaną wyjęte przez pracownika urzędu i przeniesione do akt. W takim przypadku odbiór będzie możliwy w tradycyjnym trybie, w okenku Wydziału Komunikacji - dodaje Góźdz. Nie zawsze urzędomat może zastąpić urzędnika w wydawaniu dokumentu. Tak jest np. w przypadku dowodu osobistego. Po niego trzeba przyjść osobiście. - Odbiór dowodu osobistego potwierdza się na formularzu odbioru dowodu osobistego, podpisem złożonym w sposób, o którym mowa w art. 24 ust. 3 ustawy o dowodach osobistych, tj. za pomocą urządzenia umożliwiającego złożenie i odwrócenie podpisu własnoręcznego (tzw. signature pada) - wyjaśnia MSWiA.

REKLAMA

Katowice stolicą architektury i designu.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days przyciągnęła ponad 5 tysięcy uczestników

Ponad 5 tysięcy uczestników, blisko 250 prelegentów, 42 debaty i sesje tematyczne oraz dwa dni intensywnych rozmów o przyszłości architektury, miast i jakości przestrzeni - tak wyglądała jubileuszowa, dziesiąta edycja 4 Design Days, która odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Wydarzenie od lat gromadzi architektów, projektantów, urbanistów, przedstawicieli samorządów, inwestorów, deweloperów, administrację publiczną oraz środowiska biznesowe. Tegoroczna edycja po raz kolejny potwierdziła, że 4 Design Days to dziś jedna z najważniejszych w Polsce platform debaty o przestrzeni, mieście i odpowiedzialnym projektowaniu.

Program jubileuszowej odsłony skoncentrowany był wokół wyzwań, z którymi mierzy się współczesna architektura: odporności na kryzysy klimatyczne i energetyczne, projektowania regeneracyjnego, adaptacji



istniejącej zabudowy, wpływu przestrzeni na relacje społeczne, a także roli nowych technologii - od danych po sztuczną inteligencję - w procesach projektowych i inwestycyjnych.

- *Architektura nie może być dziś wyłącznie estetyczną odpowiedzią na potrzeby rynku. Musi stać się narzędziem budowania jakości życia i odporności miast* - podkreślał podczas jednej z sesji David Sim, jeden z gości specjalnych wydarzenia i autor książki Soft City.

Wśród międzynarodowych prelegentów znaleźli się również m.in. Jonas Norsted z norweskiej pracowni Atelier Oslo, Jeanette Frisk - współzałożycielka kopenhaskiego arki_lab, specjalizująca się w projektowaniu partycypacyjnym oraz Roger Riewe - współtwórca uznanego biura Riegler Riewe Architekten. Towarzystwo im szerokie grono polskich architektów, urbanistów i ekspertów, których dorobek realnie kształtuje współczesną przestrzeń.

Integralną częścią programu było także wydarze-



nie towarzyszące Property Forum: Pomysł na Miasto, poświęcone rynkowi nieruchomości oraz wyzwaniom stojącym przed polskimi miastami. Dyskusje dotyczyły m.in. rewitalizacji terenów poprzemysłowych, współpracy samorządów z sektorem prywatnym, długofalowego planowania przestrzennego oraz odpowiedzialności inwestycyjnej.

- *Miasta potrzebują dziś nie doraźnych decyzji, lecz spójnej wizji rozwoju, która łączy interes publiczny, ekologię i jakość przestrzeni* -

mówiła podczas jednej z debat Jeanette Frisk.

Jednym z najważniejszych momentów jubileuszowej edycji była Gala Property Design Awards, podczas której nagrodzono najlepsze realizacje architektoniczne i wnętrzarskie w Polsce. Jury doceniło projekty biurowe, mieszkaniowe, hotele, obiekty publiczne oraz przestrzenie komercyjne, podkreślając znaczenie jakości, odpowiedzialności środowiskowej i społecznej w projektowaniu. Z okazji 10-lecia przyznano nagrody specjalne dekady.

0011460132

Klamka zapadła. Kolegium i szkoła policealna znikną z ulicy Sulisławickiej

Joanna Jastrzębska
Lublin

Urząd marszałkowski dostał zielone światło na przeniesienie szkół z ul. Sulisławickiej na Jaczewskiego. Sejmik oraz komisja kultury, edukacji i sportu przegłosowała propozycję zarządu województwa mimo protestów społeczności szkolnej.

O Kolegium Pracowników Służb Społecznych i szkoły policealnej przy ul. Sulisławickiej zrobiło się głośno w listopadzie zeszłego roku, kiedy okazało się, że marszałek chce wygasić kolegium i zlikwidować szkołę policealną, żeby zrobić miejsce na szkołę sportową dla byłego piłkarza Arkadiusza Onyszki.

- Nie prowadziłem żadnych rozmów z panem Arkadiuszem Onyszko, to na dzień dzisiejszy trzeba zdementować. Gdyby taka kwestia się pojawiała, będziemy na pewno z panem radnym i z panią radną (Dariuszem Grabczukiem i Iwoną Nabożną - przyp. JJ) rozmawiali, bo macie największe doświadczenie, jeśli chodzi o sport. Póki co tego tematu nie ma - stwierdził Marcin Szewczak, członek zarządu woj. lubelskiego, pytany o sprawę.

O kwestię planów wobec budynku po tym, jak szkoła przeniesie się na Jaczewskiego, do Medycznego Studium Zawodowego, podczas wczorajszej komisji edukacji, kultury i sportu pytał również radny KO Grzegorz Kurczuk, a przewodniczący Lech Sprawka (PiS) wprost powiedział, że nie jest fanem pomysłu na szkołę sportową na Sulisławickiej. - Gdyby coś było na rzeczy, byłbym przeciwny realizacji takiej koncepcji. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli tego problemu rozstrzygać poprzez opiniowanie takiego projektu na komisji.

Kwestie związane z losami budynku na Sulisławickiej nie zdominowały jednak dyskusji. Radnego KO Dariusza Grabczuka interesowało, czy odbywały się konsultacje, a kiedy członek zarządu Marcin Szewczak odpowiedział, że były spotkania z dyrektorkami obu szkół, radna Iwona Nabożna zarzuciła, że poprzednim razem padła obietnica przeprowadzenia szerokich konsultacji.

- Trudno wymagać, żebyśmy organizowali jakieś konsultacje na forum publicznym, poddawali to pod jakieś dyskusje, bo zawsze pojawiają się osoby, które z różnych powodów są niezadowolone i wtedy byśmy nic nie mogli z tym zrobić - przyznał Szewczak.



Wczorajsza pikietka przed siedzibą sejmiku

Kiedy Nabożna poruszyła kwestię problematycznego dojazdu - obecnie szkoła znajduje się na Bronowicach, a po przeprowadzce miałyby znaleźć się na Śródmieściu - Szewczak odpowiedział: - Mam taki dom rodzinny i kiedyś mi wujek powiedział, że za sentymenty się płaci, bo płaci się za coś, co trzeba utrzymywać, gdzie są tego duże koszty. Tak samo możemy powiedzieć, że mamy COZL w jednym miejscu i każdy musi tam dojechać.

Właśnie kwestia dojazdu jest najbardziej problematyczna dla słuchaczy i słuchaczek szkoły.

- Dużo osób się wypowiada, że niestety zmiana lokalizacji bardzo utrudni kontynuację edukacji. Nie mamy nieograniczonych możliwości pokrycia kosztów postępu na Jaczewskiego. Chcielibyśmy komfortowo skończyć tę szkołę, w warunkach, które znamy i które świadomie wybraliśmy - mówiła pani Paulina, słuchaczka pierwszego roku terapeuty zajęciowego i przedstawicielka samorządu szkoły.

Pani Małgorzata na posiedzenie wniosła białą-czerwoną flagę, bo jak mówi, jest obywatelką Polski i ma prawo do bycia godnie traktowaną. Poza nauką i pracą zawodową sama wychowuje czwórkę dzieci.

- Może to dla państwa błaża sprawa, ale dla nas mały dramat. Jestem osobą, która całe życie pracowała z osobami niepełnosprawnymi i widzę, jak duże są w tym zakresie potrzeby. Nie będę w stanie łączyć życia zawodowego, życia rodzinnego i jeszcze znajdować czas na dojazd na Jaczewskiego.

Wczoraj członkowie komisji pozytywnie zaopiniowali wniosek urzędu marszałkowskiego w sprawie przeniesienia szkół stosunkiem głosów 4:3, a radni sejmiku przyjęli obydwie uchwały. Na zmianę adresu placówek jeszcze musi zgodzić się kuratorium oświaty.

Prokuratura: mężczyzna zatrzymany, trwają czynności

Adrianna Romanek
Lublin

Po miesiącach oczekiwania przez nękanie kobiety, pojawił się przełom w sprawie stalkera, o której „Kurier Lubelski” pisał jako pierwszy. Mężczyzna został wczoraj zatrzymany.

- Obecnie przeprowadzamy z nim czynności - poinformował Artur Sztachelski, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Białymstoku.

Sprawa nabrała tempa po jej nagłośnieniu w mediach. Przypomnijmy, że jako pierwszy o sprawie poinformował „Kurier Lubelski”, gdy skontaktowała się z nami 22-letnia Martyna z Lublina, jedna z wielu poszkodowanych. Następnie temat podchwyciły ogólnopolskie media, co, jak przyznaje sama ofiara, miało wpływ na działania służb.

- Trochę ulga, trochę jednak wciąż niepewność - tak Martyna skomentowała zatrzymanie stalkera. - Mam nadzieję, że

to zakończy sprawę, a ten kosztmar w końcu się skończy. Cieszę się, że nagłośnienie sprawy pomogło i w końcu coś ruszyło do przodu.

Przypomnijmy, kobiety od miesięcy otrzymywały uporczywe wiadomości, telefony oraz zdjęcia o charakterze seksualnym. Wśród poszkodowanych były także osoby nieletnie, a część kobiet zatrzymywała groźby karalne. Mimo licznych zgłoszeń, przez długi czas nie dochodziło do przełomu w sprawie, co budziło ogromne

poczucie bezsilności i strachu u pokrzywdzonych kobiet z całej Polski.

Martyna we wrześniu 2025 roku zgłosiła sprawę na policję i mimo formalnego wszczęcia postępowania, nękanie nie ustało. W styczniu liczba kobiet nękanych przez tego samego nieznajomego mężczyznę wzrosła do ponad 30, a później do ponad 50.

Zgodnie z kodeksem karnym za uporczywe nękanie mężczyźnie grozi kara do 8 lat pozbawienia wolności.

MATERIAL INFORMACYJNY: EUROPE DIRECT LUBLIN WYSPA

0011469975

Wartości Unii Europejskiej - co naprawdę nas łączy?

Unia Europejska to nie tylko wspólny rynek, fundusze czy swoboda podróżowania. Jej fundamentem są wartości zapisane w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej: poszanowanie godności ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego oraz praw człowieka. Choć często postrzegane jako abstrakcyjne, w rzeczywistości mają one bardzo konkretne znaczenie w codziennym życiu obywateli.

Godność ludzka stanowi punkt wyjścia wszystkich pozostałych wartości. Oznacza uznanie, że każda osoba - niezależnie od pochodzenia, wieku, poglądów czy sytuacji życiowej - zasługuje na szacunek i ochronę. W praktyce przekłada się to na przeciwdziałanie dyskryminacji, dostęp do usług publicznych, ochronę socjalną oraz solidarność społeczną.

Wolność w Unii Europejskiej to zarówno swoboda przemieszczania się, podejmowania nauki i pracy w innych krajach UE, jak i wolność słowa, zrzeszania się czy wyboru własnej drogi życiowej. Dla wielu mieszkańców regionów takich jak Lubelszczyzna oznacza ona realne możliwości rozwoju - edukacyjnego, zawodowego i osobistego.

Kluczowym filarem wspólnoty jest **demokracja**. Zapewnia ona obywatelom wpływ na decyzje podejmowane na poziomie lokalnym, krajowym i europejskim. Demokracja to nie tylko udział w wyborach, ale także dialog obywatelski, konsultacje społeczne oraz prawo do wyrażania opinii. Dzięki temu obywatele nie są jedynie odbiorcami decyzji, lecz współtwórcami wspólnej przyszłości.

Równość oznacza równe prawa i szanse dla wszystkich. W UE przekłada się to m.in. na równe traktowanie kobiet i mężczyzn, ochronę praw pracowniczych, wsparcie osób z niepełnosprawnościami oraz działania na rzecz włączenia społecznego. Celem jest ograniczanie nierówności i zapewnienie dostępu do edukacji, pracy i godnych warunków życia - niezależnie od miejsca zamieszkania czy statusu materialnego.

Nieodłącznym elementem europejskiego porządku jest **państwo prawne**. Oznacza ono, że prawo obowiązuje wszystkich - także osoby sprawujące władzę. Niezależne sądy, przejrzyste procedury i odpowiedzialność instytucji publicznych chronią obywateli przed nadużyciami i dają poczucie bezpieczeństwa. Bez państwa prawa nie ma stabilności ani zaufania społecznego.

Uzupełnieniem tych zasad są **prawa człowieka**, które gwarantują m.in. prawo do życia prywatnego, ochronę danych osobowych, wolność wyznania, prawo do edukacji oraz ochronę mniejszości. Ich poszanowanie jest warunkiem przynależności do Unii Europejskiej, a naruszenia tych praw w jednym państwie mają znaczenie dla całej wspólnoty.

Wartości UE nie są narzucone z zewnątrz - wyrastają ze wspólnych doświadczeń historycznych Europy i mają chronić przed powrotem do podziałów, przemocy i wykluczenia. Łączą ludzi ponad różnicami politycznymi i światopoglądowymi. To one sprawiają, że Unia Europejska jest przede wszystkim wspólnotą obywateli, a nie tylko instytucji.



KRÓTKO

USTKA

Areszt dla funkcjonariusza SOP

Sąd Rejonowy w Słupsku zastosował w czwartek tymczasowe aresztowanie na trzy miesiące wobec 44-letniego funkcjonariusza Służby Ochrony Państwa. Mężczyzna jest podejrzany o zabójstwo czteroletniej córki i usiłowanie zabójstwa czworga członków swojej rodziny: żony, syna i teściów.

Sędzia Ryszard Błencki na posiedzeniu bez udziału publiczności przychylił się do wniosku Prokuratury Okręgowej w Słupsku i zaarrestował na trzy miesiące 44-letniego Piotra K.

- Sąd uwzględnił nasze przesłanki, które wskazałyśmy we wniosku, w tym grożącą wysoką karę i wysoki stopień uprawdopodobnienia podejrzenia popełnienia zarzucanych mu zbrodni, jak również obawę mactwa i wpływania na przebieg postępowania - przekazała po wyjściu z posiedzenia aresztowego prowadząca śledztwo prokurator Magdalena Gadoś. Piotr K. zostanie osadzony w Areszcie Śledczym w Słupsku. PAP

WARSZAWA

- Wniosek o uchylenie immunitetu posłowi PiS Antoniemu Macierewiczowi trafił we wtorek do Sejmu - potwierdził marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Chodzi o sprawę publicznego znieważenia przez nazwanie agentami rosyjskimi kierownictwa SKW podczas posiedzenia Sejmu we wrześniu 2025 r. Marszałek poinformował, że skierował wniosek do Biura Legislacyjnego oraz do Biura Ekspertyz i Oceny Skutków Regulacji.

„
Inicjatywa w sprawie Rady Pokoju
leży po stronie prezydenta
Karola Nawrockiego

Radosław Sikorski, wicepremier, szef MSZ

Wiceminister rolnictwa: Każdy pies będzie zaczipowany

Adam Kielar
Warszawa

W tym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk w całym kraju - zapowiedział w czwartek główny lekarz weterynarii Paweł Meyer. Ma dotyczyć m.in. nadzoru nad placówkami.

W czwartek (29 stycznia) w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi w Warszawie przedstawiono wyniki kontroli przeprowadzonych w schroniskach dla zwierząt. W konferencji uczestniczą: główny lekarz weterynarii Paweł Meyer oraz wiceministrowie: Jacek Czerniak (MRiRW) i Tomasz Szymański (MSWiA).

Jak podkreślił Meyer, wykonano 368 kontroli, dwie jeszcze są realizowane, a w 40 miejscach stwierdzono nieprawidłowości. Zapowiedział także audyt wszystkich schronisk w Polsce.

- W tym celu w bieżącym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk, całego nadzoru nad schroniskami we wszystkich województwach w całym kraju i będzie on obejmował wymagania w tym zakresie, jak również pozwoli nam ocenić system nadzoru i procedury nadzoru dotyczące tego zagadnienia - powiedział.

Zamknięte schronisko w Sobolewie
W ostatnim czasie szerokim echem w mediach odbiła się



Jacek Czerniak i Paweł Meyer podsumowali kontrole przeprowadzone w schroniskach dla zwierząt

sprawa schroniska dla zwierząt w Bytomiu (woj. śląskie). Dochodzenie w sprawie znęcania się nad zwierzętami w tej placówce prowadzi myślowicka policja pod nadzorem tamtejszej prokuratury.

W sobotę, po ponownej kontroli, zamknięte zostało schronisko dla zwierząt w Sobolewie na Mazowszu. O tej placówce zrobiło się głośno, gdy pojawiły się tam znane osoby, w tym wokalistka Doda.

Policja w schroniskach
Podczas konferencji prasowej dotyczącej kontroli przepro-

wadzonych w schroniskach dla zwierząt wiceszef MSWiA Tomasz Szymański przekazał w czwartek, że w 125 interwencjach policji w schroniskach dla zwierząt przeprowadzonych od początku br. wzięło udział blisko 490 funkcjonariuszy.

Zapelował do organizacji społecznych i osób prywatnych, które wiedzą o nieprawidłowościach w schroniskach, by zgłaszały te informacje zarówno głównemu lekarzowi weterynarii, jak i Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji.

- Dobrostan zwierząt oraz funkcjonowanie ich w należy-

tych warunkach są dla nas priorytetem. Mówimy stanowczo „nie” patoschroniskom - podkreślił.

Szymański poinformował również, że w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego będą analizowane wystąpienia pokontrolne. - Przeanalizujemy zalecenia i wystąpimy do jednostek samorządu terytorialnego, (...) żeby wdrożyć jak najlepsze rozwiązania - zadeklarował.

Każdy pies będzie zaczipowany

Wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Jacek Czerniak zapowiedział wprowadzenie jednolitego systemu, w którym każdy pies będzie zaczipowany.

- Każdy pies będzie zaczipowany i zarejestrowany - podkreślił. Dodał, że w systemie znajdą się podstawowe informacje dotyczące właściciela zwierzęcia.

- Jeżeli właściciel psa nagle podejmie decyzję, żeby tego psa gdzieś zostawić - oby nigdy tak się nie działo - to system niezwłocznie sprawdzi, do kogo należał. W ten sposób ograniczymy w jakimś zakresie bezdomność zwierząt - powiedział.

Zapowiedział, że w przypadku psów system będzie obligatoryjny, zaś w przypadku kotów - fakultatywny. - Obowiązkowo rejestrowane będą też zwierzęta znajdujące się w schroniskach - dodał. PAP

Czy Zbigniew Ziobro straci dietę parlamentarną?
Czarzasty wnioskuję o zmniejszenie uposażenia posła

oprac. Anna Nagel
Warszawa

Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty skierował do komisji regulaminowej wniosek ws. nieobecności posła PiS Zbigniewa Ziobry na posiedzeniach Sejmu.

Zbigniew Ziobro - były minister sprawiedliwości i prokurator generalny, obecnie poseł PiS - nie pojawia się od jakiegoś czasu na posiedzeniach Sejmu i obec-

nie przebywa na Węgrzech, gdzie uzyskał azyl polityczny.

28 stycznia minął 7-dniowy termin możliwości usprawiedliwienia przez Ziobrę nieobecności. Usprawiedliwienie nie wpłynęło, w związku z czym marszałek Sejmu poinformował w czwartek, że przesłał szefowi sejmowej komisji regulaminowej Jarosławowi Urbania-kowi (KO) informację o nieusprawiedliwionych nieobecnościach Ziobry. Czarzasty przypomniał na konferencji

prasowej, że komisja ma obowiązek rozpoznać jego wniosek i zająć stanowisko. Zaznaczył, że komisja może zwrócić posłowi uwagę, udzielić upomnienia lub nagany.

- W momencie, gdy komisja przedstawi mi stanowisko, pan Ziobro będzie miał czas na odwołanie się od tej decyzji - powiedział marszałek. Zapowiedział, że jeżeli Ziobro się nie odwoła, on przedstawi Prezydium Sejmu projekt uchwały o utracie diety parlamentarnej

i obniżeniu uposażenia poselskiego do jednej dziesiątej wysokości, czyli 1350 zł brutto miesięcznie.

Uposażenie poselskie wynosi 13 467,92 zł brutto, a dieta parlamentarna 4208,73 zł brutto.

W nowelizacji Regulaminu Sejmu z maja 2025 r. zwiększono sankcje w związku z nieusprawiedliwioną nieobecnością na posiedzeniu Sejmu, jeżeli w danym miesiącu jest większa niż 3 dni. PAP

0011471171

Koledze
Jarosławowi Izdebskiemu

wyrazy najgłębszego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Córki

składają

Zarząd, Dyrekcja i Pracownicy
MULTIVAC Sp. z o.o.

0011470014

Szanownemu Panu Dyrektorowi
Jarosławowi Mucha

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

SP

Taty

składają

Zarząd i pracownicy firmy Architektura Zieleni Hortus
oraz Green L Sp. z o.o.

Akwarela Café: smak, spotkania i kultura w sercu lubelskiej Starówki

W samym sercu Lublina działa miejsce, które od lat kojarzy się z dobrą kawą, naleśnikami i spokojną atmosferą. Akwarela Café to kawiarnia i naleśnikarnia, w której jedzenie, spotkania i kultura funkcjonują obok siebie w naturalny sposób. Od wiosny 2025 roku lokal prowadzony jest przez Annę Sadurę-Adamek i Łukasza Adamka, którzy przejęli miejsce o silnej tożsamości i postawili na jego konsekwentny rozwój.

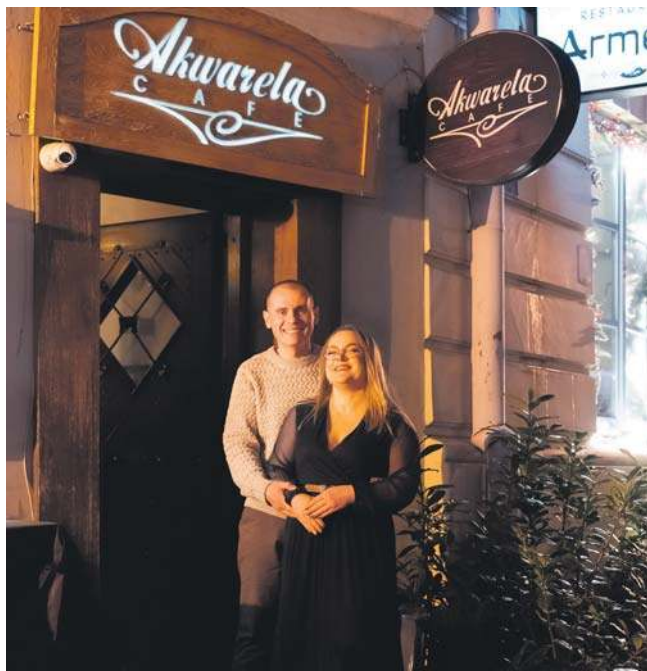
- Zależało nam na tym, żeby nie zmieniać Akwareli na siłę. To miejsce ma swoją historię i charakter, który chcemy wzmacniać, a nie zastępować czymś nowym - podkreśla Anna Sadura-Adamek.

Nowi właściciele postawili na uporządkowanie oferty i jasny kierunek rozwoju, oparty na trzech filarach: gastronomii, ludziach i kulturze. Wszystkie działania łączy idea inkluzywności, rozumianej jako codzienna praktyka i uważność na potrzeby gości.

Gastronomia jako fundament

Podstawą funkcjonowania Akwarela Café pozostaje oferta gastronomiczna. Menu zaprojektowano z myślą o różnych porach dnia. Przed południem kawiarnia zaprasza na kawy klasyczne i autorskie oraz szeroki wybór herbat. W ciągu dnia menu uzupełniają lekkie propozycje lunchowe - naleśniki w wersjach wytrawnych oraz sałaty, chętnie wybierane przez osoby szukające szybkości, ale pełnowartościowego posiłku. Po południu i wieczorem Akwarela staje się miejscem spokojnych spotkań przy deserze, winie lub koktajlu.

- Menu musi odpowiadać temu, jak ludzie naprawdę korzystają z tego miejsca. W in-



Właściciele Akwarela Café przed kawiarnią przy ul. Rynek 6 w Lublinie

nym celu przychodzi się przed południem, w innym w porze lunchu, a jeszcze innym wieczorem - mówi Łukasz Adamek.

W stałej ofercie znajdują się także ciasta wypiekane w własnej pracowni, puchary lodowe i desery. Od ostatniego sezonu Akwarela Café współpracuje z lokalną, domową manufakturą Azaliż, oferując w sezonie letnim lody gałkowe, które szybko stały się jednym z rozpoznawalnych elementów menu. Kartę win uzupełniają m.in. propozycje z Winnicy Kazimierskie Wzgórza.

Festiwal Naleśników „Czas na naleśnika!”

Luty przynosi nowość w kalendarzu Akwareli. Po raz pierwszy odbędzie się Festiwal Naleśników „Czas na naleśnika!”, będący autorskim pomysłem nowych właścicieli. Przez cały miesiąc naleśniki - od lat

jeden z kulinarnych znaków rozpoznawczych lokalu - pojawiają się w specjalnych, festiwalowych odśtonach.

Formuła Festiwalu zakłada, że każdego dnia gościom proponowany będzie inny naleśnik spoza stałej karty, dostępny w atrakcyjnej cenie. Wśród propozycji znajdują się m.in. puszyste naleśniki w stylu amerykańskim, francuskie naleśniki gryczane, naleśniki z autorskimi farszami oraz warianty deserowe przygotowane specjalnie na tę okazję.

- Festiwal to dla nas sposób na pokazanie, jak różnorodnie mogą być naleśniki i zachęta do częstszych wizyt w Akwareli - dodaje Łukasz Adamek.

To pierwsza tego typu inicjatywa w historii Akwarela Café, a jednocześnie zaśmiewa kolejnych działań gastronomicznych planowa-



Koncert duetu Cuatro Manos w Akwarela Café

nych przez nowych właścicieli, w tym uruchomienia od maja oferty śniadaniowej.

Ludzie i atmosfera

Choć gastronomia pozostaje fundamentem działalności, właściciele podkreślają znaczenie zespołu, gości i artystów, którzy współtworzą atmosferę miejsca. Jedną z kluczowych decyzji właścicieli było zbudowanie stabilnego zespołu, który przejął odpowiedzialność za codzienne funkcjonowanie lokalu i relacje z gośćmi. Pracą zespołu kieruje Julia Samonek, dbając nie tylko o sprawną organizację, ale również o otwarty charakter miejsca.

- Działając na lubelskiej Starówce nie jesteśmy w stanie usunąć wszystkich barier architektonicznych, ale mamy realny wpływ na to, jak traktujemy ludzi. Uważ-

ność i elastyczność to coś, co można praktykować każdego dnia - zaznacza Anna Sadura-Adamek.

Akwarela rozwijana jest jako przestrzeń spokojna i dostępna - przyjazna rodzinom z dziećmi, seniorom, osobom neuroatypowym oraz wszystkim, którzy szukają miejsca wolnego od nadmiaru bodźców.

Kultura w tle codzienności

Integralną częścią Akwareli pozostaje działalność kulturalna, konsekwentnie wpisująca w codzienne funkcjonowanie kawiarni. Lokal pełni rolę regularnych prezentacji sztuki - dostępnej, bliskiej i pozbawionej instytucjonalnego dystansu. W przestrzeni lokalu regularnie odbywają się wystawy, koncerty i spotkania z artystami, organizowane w kameralnej formie.

W lutym zaplanowano m.in. koncerty duetu Pogadanka (13 i 14 lutego), finał wystawy Damiana Czerwińskiego „Pajsa pejzażu - pastele” (8 lutego) oraz spotkanie z Patrycją Turek towarzyszące wystawie „Historie niepoważne” (21 lutego).

Program kulturalny tworzony jest we współpracy z Dariuszem Płechą - członkiem Stowarzyszenia Akwarelistów Polskich i współtwórcą Grupy Lubelskiej, a wydarzenia zaplanowane są z wyprzedzeniem niemal do końca roku. Ważnym elementem są także kameralne koncerty, które pozwalają na bezpośredni kontakt artystów z publicznością.

Spójny kierunek

Akwarela Café rozwija się dziś jako miejsce, w którym oferta gastronomiczna, uważność na ludzi i obecność kultury wzajemnie się uzupełniają. Autorskie menu, zespół budujący atmosferę codziennych spotkań oraz kameralne wydarzenia artystyczne tworzą spójną całość. To przestrzeń, która zachowując swoją tożsamość, konsekwentnie umacnia swoją pozycję na gastronomicznej i kulturalnej mapie Lublina.

Godziny otwarcia w sezonie zimowym
pon., śr., czw.: 11.00-20.00
wt.: zamknięte
pt.: 11.00-21.00
sob.: 10.00-22.00
niedz.: 10.00-20.00

**tel. 81 534 64 09
Lublin, ul. Rynek 6**



Finał wystawy Grzegorza Wróbla z malowaniem na żywo



Wybrane dania z menu Akwarela Café w Lublinie

„Streets of Minneapolis”. Bruce Springsteen zaśpiewał o prywatnej armii Trumpa

oprac. Karolina Wrońska
Minneapolis

Legendarny muzyk Bruce Springsteen opublikował piosenkę, którą napisał na znak protestu przeciwko operacji służb imigracyjnych w Minneapolis, pod tytułem „Streets of Minneapolis”.

76-letni artysta śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i kłamstwach władz.

„Napisałem tę piosenkę w sobotę, nagrałem ją wczoraj i wypuszczam ją dla was dzisiaj w odpowiedzi na państwowy terror, który dotknął miasta Minneapolis” - przekazał w mediach społecznościowych Springsteen, który już wcześniej krytykował operacje służb wymierzone w imigrantów.

W sobotę z rąk agentów federalnych zginął w Minneapolis 37-letni pielęgniarz Alex Pretti. Wcześniej w tym miesiącu zabita została przez agenta służb migracyjnych (ICE) Amerykanka Renee Good.

„Jest zadedykowana mieszkańcom Minneapolis, naszym

niewinnym sąsiadom imigrantom ku pamięci Aleksa Prettiego i Renee Good” - przekazał muzyk.

Tekst utworu opisuje operacje służb w mieście. Springsteen śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i „paskudnych kłamstwach Millera i Noem”. Stephen Miller, czołowy doradca prezydenta Donalda Trumpa, określił Prettiego jako „zabójcę”, natomiast Noem zarzuciła 37-latkowi „krajowy terroryzm”. PAP



Bruce Springsteen zareagował na kolejne zabójstwo ICE w Minneapolis protest songiem

Trump ostrzega Iran: „Czas ucieka” na porozumienie

Kazimierz Sikorski
Waszyngton

Donald Trump ostrzegł Teheran, że „czas ucieka” na negocjacje w sprawie porozumienia o programie nuklearnym Iranu, gdy przybywa sił USA w Zatoce Perskiej.

Donald Trump zaznaczył, że czas na zawarcie porozumienia ucieka.

„Ogromna Armada zmierza w stronę Iranu. Porusza się szybko, z wielką siłą, entuzjazmem i determinacją. To większa flota, dowodzona przez wspaniałego lotniskowca Abrahama Lincolna, niż ta wysłana do Wenezueli” - napisał Donald Trump na platformie społecznościowej Truth Social.

„Podobnie jak w przypadku Wenezueli (armada) jest gotowa, chętna i zdolna do szybkiego wypełnienia swojej misji, w razie potrzeby z szybkością i przemocą” - dodał.

Iran: „Trzymamy palce na spuście”

W odpowiedzi szef dyplomacji Iranu Abbas Araghchi oświad-



Stany Zjednoczone zgromadziły w regionie Bliskiego Wschodu wystarczające siły, z lotniskowcem USS Abraham Lincoln na czele, by przeprowadzić uderzenie na Iran

czył, że wojska Iranu są gotowe „z palcem na spuście”, by „natychmiast i stanowczo odpowiedzieć” na każdą agresję lądową lub morską.

Rzecznik irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej zapewnił natomiast, że Iran przygotował plany operacyjne na wszelkie scenariusze wydarzeń. Teheran utrzymuje, że jego program nuklearny ma charakter pokojowy i zaprzeczał oskarżeniom USA i ich sojuszników, jakoby dążył do rozwoju broni jądrowej.

Najnowsze ostrzeżenie Trumpa jest następstwem jego obietnicy, że Waszyngton zainterweniuje, aby pomóc osobom zaangażowanym w brutalne stłumienie protestów w kraju na początku miesiąca.

Rzecznik irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej zapewnił, że Iran przygotował plany operacyjne na wszelkie scenariusze

Protesty w Iranie pokazały kryzys władz

Demonstracje rozpoczęły się po gwałtownym spadku wartości irańskiej waluty, ale szybko przerodziły się w kryzys legitymizacji dla przywódców duchownych w kraju. „Pomoc jest w drodze” - mówił Trump, po czym zmienił ton i dodał, że dowiedział się z wiarygodnego źródła, że egzekucje demonstrantów zostały wstrzymane.

Amerykańska Agencja Informacyjna Aktywistów Praw Człowieka (HRANA) potwierdziła śmierć 6301 osób, w tym 5925 protestujących, od początku zamieszek pod koniec grudnia. Norweska organizacja Iran Human Rights (IHR), ostrzegła, że ostateczna liczba ofiar może przekroczyć 25 000.

W reakcji na nasilenie gróźb USA wobec Iranu trzecią sesję z rządu rosły ceny. Atak USA może zagrozić przepływom ropy naftowej z Bliskiego Wschodu, regionu, który odpowiada za ok. 1/3 globalnych dostaw ropy. PAP

REKLAMA

0011470386



SOLANKI

Uzdrowisko Inowrocław

Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

PULS
#201



Na psa los...

Najpierw był Bytom, potem Sobolewo, teraz Ostrowite (gmina Golub-Dobrzyń). Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Bytomiu sprawuje opiekę nad stu pięćdziesięcioma psami i setką kotów. Jest prywatne, wcześniej przez lata działało jako placówka publiczna.

Kilka dni temu pod schroniskiem pojawiła się Dorota Rabczewska, wcześniej do Bytomia zjechała celebrytka Laluna, znana chociażby z programu „Królowe życia”. Wtedy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wolontariusze chcieli wtargnąć do placówki siłą i zabrać zwierzęta. Wezwano policję.

Doda też podgrzewała atmosferę. - Moi fani to również mieszkańcy Bytomia. Zawsze pomagam swoim fanom, bo oni też mi pomagają. Zwierzęta są dla mnie numer jeden. Pani Ania, która jest kierowniczką, nie ma ani pół emocji na twarzy - mówiła.

Dalej było o tym, że mieszkańcy miasta muszą zareagować, że taka osoba nie może prowadzić schroniska. - To powinno być miejsce, w którym zwierzęta nie wegetują, nie cierpią, nie są narzędziem do interesów, tylko gdzie mogą znaleźć ukojenie i adopcję. A ja wysyłam ciuchy tydzień temu, a ona ich jeszcze nie ubrała. Teraz na szybko je ubiera - tłumaczyła Rabczewska.

Wcześniej spotkała się z prezydentem Mariuszem Wołoszem oraz wspomnianą już wcześniej kierowniczką schroniska. Wołosz zapewnił, że umowa z operatorem została rozwiązana 15 stycznia, że teraz najważniejsze jest to, aby zaopiekować się zwierzętami.

W międzyczasie Doda pokazywała na zdjęciach psiaki: zaniedbane, chude, pokaleczone. Miały pochodzić z bytomskiego schroniska.

- Proszę się rzec stanowiska. Jesteś okropna, w piekle spłoniesz. Mi się chce płakać - mówiła piosenkarka w kierunku kierowniczkę schroniska.

Ta zdecydowanie odpięła zarzuty. Podkreślała, że takich psów nigdy u niej nie było.

- Mam na wszystko dokumenty. Spotkamy się w sądzie - rzuciła w stronę Dody.

I dodała, że od kontroli i wydawania ocen są odpowiednie instytucje.

Ale według raportu, który przygotowało dwoje bytomskich radnych - Beata Adamczyk-Nowak z Koalicji Obywatelskiej i Maciej Bartków z Prawa i Sprawiedliwości - w bytomskim schronisku dochodziło do nieprawidłowości.

- Pojawiły się informacje o eutanazji zwierząt w celach zarobkowych, przemocy i zaniedbaniach w opiece. Zwierzętazymane były we własnych odchodach - twierdzi Maciej Bartków. Z notatki, którą pod koniec grudnia podczas wizyty w schro-

PRAWDZIWIY HORROR? A MOŻE SMUTNA SCHRONISKOWA RZECZYWISTOŚĆ?

Schroniska dla zwierząt to miejsca, w którym jedni zostawiają serce i czas. Dbają, doglądają i tak po ludzki przytulają. Dla innych to sposób na zarabianie pieniędzy. Umożliwia im to system, bo ten preferuje oszczędzanie, a na zwierzętach oszczędzać się nie da. Trzeba im zapewnić kojce, jedzenie, pomoc weterynaryjną, po prostu - godne życie

Dorota Kowalska

nisku sporządzili pracownicy Wydziału Inżynierii Środowiska Urzędu Miejskiego w Bytomiu, wynika, że zaobserwowali przypadki biegunki u psów w wielu kojcach, skrajnie niezadawalający stan sanitarny kwarantanny, rażący brak czystości w szczelnikarni, widoczne urazy u zwierząt.

Ale Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach poinformował, że przeprowadzane w ostatnich latach kontrole wykazywały jedynie uchybienia infrastrukturalne.

„Warunki bytowania zwierząt są zgodne z obowiązującym prawem. To nie ulega żadnej wątpliwości. Niezgodne z naszymi ustaleniami są stwierdzenia, które pojawiają się w mediach społecznościowych, że była to mordownia, że dochodziło do znęcania się nad zwierzętami, że psy stamtąd znikają itd. Liczne kontrole nigdy tego nie wykazały” - podkreślił Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach.

Właściciel z zarzutami

Kilka dni później przyszedł czas na Sobolewo. W sobotę, 26 stycznia, o zamknięciu Schroniska dla Zwierząt „Happy Dog” poinformowali premier Donald Tusk i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Powód? Nieusunięcie uchybień przez właściciela placówki. W azylu przebywało wówczas około sto osiemdziesiąt psów i kilka kotów.

Grunt, na którym znajduje się schronisko, należy do gminy. Dzierżawca, czyli prowadzący placówkę Marian D., został jakiś czas temu oskarżony o znęcanie



W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt

się nad zwierzętami. Proces trwa wiele lat i wciąż się nie zakończył. Mężczyźniem zarzuca się m.in. stosowanie przemocy wobec zwierząt, trzymanie ich w za ciasnych kojcach oraz niedokarmianie.

Mieszkańcy i aktywiści od dawna apelowali do wójta Sobolewa Macieja Błachnio o rozwiązanie umowy z Marianem D. Bezskutecznie.

W sobotę sforsowali plot i zaczęli spontanicznie zabierać psy. Część z nich trafiła do prywatnych domów. W sieci pojawiły się pytania, dlaczego zwierzęta były wydawane bez żadnych procedur. Niektórzy obawiali się, że trafiły w ręce osób, które nie będą umiały poradzić sobie z czworonogami.

I tu do akcji wkroczył poseł Łukasz Litewka, od początku zaangażowany w to, co działo się wokół schroniska w Sobolewie.

„Nikt nie był w stanie zapanować nad tłumem, ale to tłum ludzi, którzy kochają zwierzęta. One przeszły piekło, nigdzie nie będzie im gorzej. Weszliśmy do obozu i zobaczyliśmy maszynkę do mielenia mięsa, pałki do bicia zwierząt, na których była krew. Guzy, rany, ropy. Ludzie wchodziłi do klatek, przytulali psy, błagali o smycz - wynosili je, bo nie wyobrażali sobie, by te zwierzęta zostały tam jeszcze nawet jedną noc” - napisał na platformie X. „Nie wińcie ich, wińcie tych, którzy przez lata nie otworzyli drzwi schroniska. Bo to miejsce nigdy schroniskiem nie było, było mordownią” - dodał, publikując przy okazji zdjęcie jednej z kobiet, która błagała go o smycz, by móc wyprowadzić z klatki przerażonego psa.

Jak poinformował potem wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski, sto czterdzieści sześć psów, które zostały, przekazano do schroniska w Wojtyszkach prowadzonego przez Instytut Ochrony Zwierząt.

A miejsc, które budzą wątpliwości, przybywa. Bo podobne sceny miały miejsce w ostatni weekend w prywatnym schronisku Zielone Pole w Ostrowitem (gmina Golub-Dobrzyń). W wyniku kontroli zleconych przez MSWiA stwierdzono tu uchybienia. Obiekt znalazł się pod szczególnym nadzorem wojewody, na miejsce przyjechali wolontariusze oraz celebryci, w tym Doda.

Na reakcję polityków nie trzeba było długo czekać. Tym bardziej że wszystko dzieje się w środku zimy, wyjątkowo mroźnej i śnieżnej. I tak, kilka dni po medialnym szumie wokół zwierzaków, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zwróciło się do wojewodów o przekazanie informacji na temat liczby schronisk w ich regionach.

Podsekretarz stanu w MSWiA Wiesław Leśniakiewicz zaapelował też o zwrócenie uwagi podczas kontaktu z właścicielami schronisk na potrzebę odpowiedniego zabezpieczenia zwierząt.

Trochę faktów

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt. W 2022 roku przebywało w nich ponad 84 tysiące psów i 34 tys. kotów.

W Aleksandrowie Łódzkim radzą sobie ze zwierzakami świetnie: każdy psiak w ich gminie musi zostać zaszczepiony, to obowiązek. Bo bez identyfikacji nie ma odpowiedzialności. Dopóki pies jest niczyj, można go porzucić bez żadnych konsekwencji. Od lat bezpłatnie sterylizują i kastrują zwierzęta. Rozmawiają z ludźmi, tłumaczą, dlaczego to się opłaca.

- Rocznie korzysta z tej możliwości wielu właścicieli psów i kotów, w każdym razie około sześciuset zwierząt w ciągu roku jest sterylizowanych i kastrowanych. Jak na gminę z 35 tysiącami mieszkańców to całkiem dobry wynik - mówi Katarzyna Rezler, działaczka prozwierzęca, pełnomocnik burmistrza Aleksandrowa Łódzkiego ds. zwierząt i realizacji programu przeciwdziałania bezdomności. A tak na marginesie, mają bardzo mało bezdomnych zwierząt w swojej gminie.

Tak, oczywiście słyszała o schroniskach w Bytomiu i Sobolewie. Jak takim sytuacjom przeciwdziałać?

- Przede wszystkim trzeba określić minimalną stawkę dzienną, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota. To mogłoby być na przykład 12 złotych plus koszty weterynaryjne, które oczywiście pokrywa gmina jako właściciel zwierzę-

cia. Zwierzę powinno być czipowane przy przyjęciu do schroniska, a jego wizerunek publikowany. Każde schronisko powinno prowadzić rejestr zwierząt, które do niego trafiły w ciągu na przykład ostatniego miesiąca. Wtedy właścicielom łatwiej byłoby znaleźć swojego psa, co dzisiaj wcale nie jest takie proste - tłumaczy Katarzyna Rezler.

Bo problem jest systemowy. Bytom czy Sobolowo nie są wyjątkami - zwierzęta cierpią także w innych schroniskach. Chodzą oczywiście o pieniądze.

- Gmina ma ustawowy obowiązek opieki nad bezdomnymi zwierzętami, ale bardzo często ogranicza swoją rolę do zlecenia tego zadania w drodze przetargu. W praktyce wygrywa najtańsza oferta, a kryterium ceny dominuje nad jakością opieki, zapleczem weterynaryjnym czy doświadczeniem kadry - wyjaśnia Katarzyna Rezler.

Wiadomo - system premiuje oszczędzanie, a nie dobro zwierząt. I nie jest to często winną konkretnych ludzi, ale obowiązującego modelu. Gmina znajduje schronisko, które oferuje najlepszą dla niej ofertę, czyli najtańszą.

- Widzimy stawki rzędu 8, 10 czy 15 zł dziennie za psa, często z deklaracją, że obejmują również opiekę weterynaryjną. To są stawki całkowicie nierynkowe. Za takie pieniądze nie da się zapewnić diagnostyki, leczenia, dobrej karmy, ogrzewania czy pracy ludzi. Leczenie bywa wtedy symboliczne albo odkładane w czasie - opowiada Katarzyna Rezler.

Ale bywa jeszcze gorzej. Zdarza się, że gmina płaci jednorazowo 1200, 2000 czy 2500 zł za konkretnego zwierzęta. W tej kwocie ma się zmieścić dożywotnia opieka nad zwierzęciem: wyżywienie, leczenie, praca opiekunów, utrzymanie infrastruktury. Ci, którzy mają zwierzęta, doskonale wiedzą, że to niewykonalne, nie da się za takie pieniądze utrzymać zwierzęta. Więc dobrze, gdy zwierzę żyje krótko albo najzwyczajniej w świecie znika.

Kontrolę schronisk problemu nie rozwiązują.

- Bardzo często są zapowiadane i koncentrują się na infrastrukturze i dokumentach. Sprawdza się ogrodzenia, metraż boksów, zgodność papierów, a nie to, czy pies jest faktycznie leczony, czy eutanazja była zasadna, czy dokumentacja medyczna nie jest fikcją. Papier przyjmie wszystko, zwierzę głosu nie ma - tłumaczy Katarzyna Rezler.

I dodaje, że kiedy w schroniskach dzieje się źle, odpowiedzialność za nieprawidłowości powinny ponosić schronisko i gmina. Schronisko jest niejako wykonawcą zlecenia, ale gmina opiekunem prawnym zwierzęcia. Jeżeli wie, a powinna wiedzieć, że w schronisku dzieje się źle i nic z tym nie robi, ponosi



Pikieta przed schroniskiem w Sobolewie. To jeden z przypadków, gdy piekło zwierząt nagłośniła Doda

współodpowiedzialność za taki stan rzeczy.

Psów i kotów jest za dużo

Niby coraz bardziej rozumiemy zwierzęta. Większość Polaków wierzy, że te odczuwają ból tak jak ludzie. Stajemy się też coraz bardziej wrażliwi na krzywdę wyrządzaną psom i coraz chętniej im pomagamy. Ponad 36 procent badanych, którzy wzięli udział w ankiecie „Jak Polacy traktują zwierzęta?”, przeprowadzonej w 2019 roku, zadeklarowało, że gdy widzi psa przywiązanego do łańcucha, próbuje rozmawiać z jego właścicielem. Niemal tyle samo osób - blisko 35 procent - powiadomia lokalną organizację pomocową o błąkającym się po ulicy czworonogu. Aż 87 procent ankietowanych na pytanie „Czy pomagasz zwierzętom?” odpowiedziało twierdząco, a 10 procent zadeklarowało, że jest wolontariuszem w schronisku dla zwierząt.

To deklaracje. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie. Rzeczywistość jest jednak zupełnie inna.

- Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Gdyby zwierzęta mówiły, byłoby o tyle dobrze, że usłyszeliśmy prawdę, bo my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są - mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt.

I pyta, dlaczego walczyliśmy o zdjęcie łańcuchów z psich szyi. Te psy mają przecież opiekunów. Czy powinni z nimi być? A psy w boksach metr na metr na końcu działki, na której stoi pałac - czy powinny tam być? Nie. Mamy dużą prowincję, na której psy traktowane są beznadziejnie - tak mówi. Choć zdarzają się przypadki w miastach, kiedy pies jest zamykany na balkonie. Żyjemy w naszych bańkach. Nasi znajomi mają psy, kochają je, my kochamy swoje i wydaje nam się, że cały świat taki jest. Nie jest.

- Uważam, że trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinni ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, nie łańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierząt było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa - uważa Dorota Sumińska.

Schronisk wciąż przybywa, bezdomność wśród zwierząt rośnie. Mamy coraz więcej psów i kotów, których nikt nie chce.

- Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie przez obowiązkową kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej - ocenia Sumińska.

I tłumaczy, że Fundacja Karuna stworzyła program „Ka-

strujemy bezdomność”. Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzić obowiązkowo. Dlaczego?

- Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt - im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała rzesza instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze - odpowiada.

Więc obowiązkowa kastracja i sterylizacja, czipowanie zwierząt, minimalna stawka dzienna, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota, publikowanie wizerunków zwierzątek, które trafiają do schronisk, wreszcie rzetelne kontrole tych placówek - to pierwszy krok do tego, aby porzuconym zwierzętom żyło się choć trochę lepiej.

Najważniejszy jest człowiek

Schronisko w Korabiewicach, gmina Puszczka Mariańska, godzinę drogi od Warszawy. Zwierząt mają tu teraz około trzysta pięćdziesiąt, w tym około sto dziewięćdziesiąt piesków, trzydzieści trzy koty. Mają dwadzieścia sześć koni, prawie trzydzieści kóz, krowy, świnię, drób. Schronisko należy do Fundacji Międzynarodowy Ruch na Rzecz Zwierząt Viva.

- Fundacja Viva przejęła je w 2012 roku. Wcześniej schroni-

sko było w opłakanym stanie, działały się tu potworne rzeczy: znęcano się nad zwierzętami, nie karmiono ich, nie wydawano do adopcji, nie było żadnej opieki weterynaryjnej. Zwierzęta przechodziły gehennę. Nam udało się to schronisko wykupić i od 2012 roku prowadzimy je najlepiej jak potrafimy - mówi Karolina Wiewiórkowska, kierowniczka placówki.

Podpisali umowy z kilkoma gminami. Ale pieniądze, które dostają od gmin, mają pokrywać wyłącznie koszty odłowienia i przetrzymywania zwierzęcia w schronisku. To nie są duże kwoty. Tak naprawdę często dokładają do utrzymania, a przede wszystkim do opieki weterynaryjnej, więc nawet tu, jak tłumaczy, nie wychodzą na zero.

- Pomagają nam przede wszystkim darczyńcy, którzy są z nami od wielu, wielu lat. Chętnie reagują na nasze apele, wspierają w kryzysowych sytuacjach, ale też w codziennym utrzymaniu schroniska - opowiada Wiewiórkowska.

Sami też nie siedzą z założonymi rękami. Organizują dni otwarte, przeróżne imprezy i tak najbliższa odbędzie się 8 lutego - 14. urodziny schroniska, 9 kwietnia - trzecia edycja gry terenowej (to trochę taki bieg przełajowy z miejscami, w których odpowiada się na pytania, wykonuje wyznaczone zadania). Wygrywa ta ekipa, która zdobędzie najwięcej punktów. Fajna rodzinna zabawa. Można przyjechać na cały dzień i się nie nudzić. 7 czerwca będzie Dzień Dziecka - stawiają wtedy na najmłodszych, przygotowują dla nich mnóstwo atrakcji.

- Potem we wrześniu mamy „Jesień życia w schronisku”. Wtedy skupiamy się na starszych pieskach, pokazujemy je gościom, a 18 października czwartą edycję „Biegu po karmę”. To ogromna impreza, bierze w niej udział coraz więcej biegaczy. Ina koniec, w grudniu, robimy kiermasz świąteczny - można na nim zjeść bigos, kupić jakieś drobiazgi - tłumaczy.

Podczas każdej imprezy oprowadzają gości po schronisku, przedstawiają im zwierzęta, opowiadają o nich i o tym, jak funkcjonują.

- Jeżeli chociaż jedna osoba zakocha się w jakimś psiku i będzie chciała wziąć go do domu, to dla nas wielka radość - mówi Wiewiórkowska. To się zresztą często zdarza, a przy okazji zbierają datki na schronisko, edukują, tłumaczą, jak dbać o zwierzęta, jak zapobiegać bezdomności. U nich każdy pies ma imię, każdego znają od pyska po ogon. Psy są porządnie przebadane, zaopiekowane.

- Najważniejszy jest zespół, bez niego nie ma dobrego schroniska - tłumaczy Karolina Wiewiórkowska. - Na umowach o pracę bądź na umowach zlecenie pracuje u nas ponad dwadzieścia osób. To fenomenalni, empatyczni, oddani zwierzętom ludzie, żadne przypadkowe osoby. Chcą tutaj być i wiedzą, po co tutaj są. Schronisko to smutne miejsce, prawda? Więc oni chcą nieść tym zwierzętom jak najlepszą opiekę, uczynić ich życie lepszym - dodaje.

Pomagają im wolontariusze: prawie dwieście osób. Przyjeżdżają bardzo regularnie: wyprowadzają psy, a przede wszystkim promują zwierzęta do adopcji. Wykonują kawał dobrej roboty, na którą oni, pracownicy, nie mają czasu. Wszyscy tworzą zgrany team, wszyscy kochają zwierzęta.

I tak na koniec

Szum wokół schronisk ma swoje dobre i złe strony. Zwraca uwagę na problem, ale i przeszkadza.

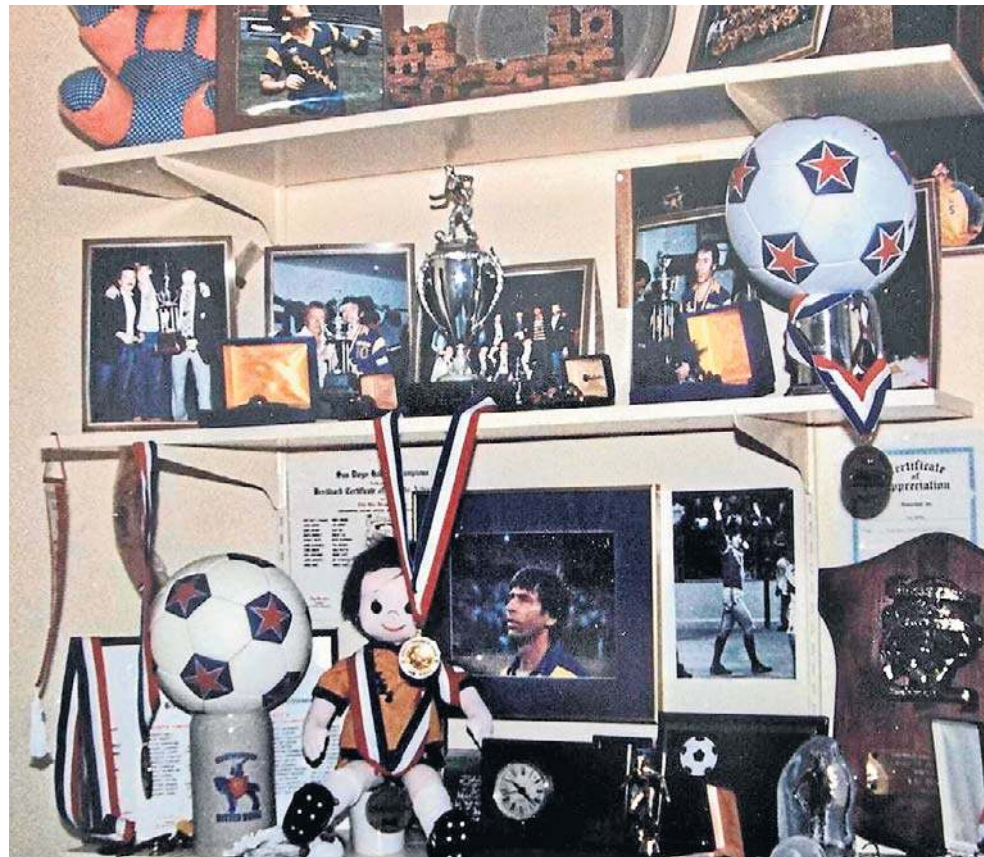
- Emocje są zrozumiałe, ale hejt, próby samosądu często szkodzą zwierzętom. Paraliżują adopcje, zamykają schroniska na wolontariuszy, tworzą chaos. Potrzebujemy kontroli obywatelskiej opartej na wiedzy i dokumentach - mówi Katarzyna Rezler.

Tak naprawdę najważniejszy jest człowiek. Na zmiany systemowe przyjdzie nam pewnie jeszcze poczekać, jeśli w ogóle do nich dojdzie. Więc, póki co, dobrze by było, aby zwierzętami w schroniskach zajmowali się tylko ci, którzy naprawdę tego chcą, rozumieją, że pies czy kot to żywa istota, która odczuwa ból, strach, smutek, potrafi się cieszyć, przywiązać, na swój psi czy koci sposób kochać. I jest całkowicie od nas zależna.

PAP
Współpraca: Ireneusz Stajer



40 urodziny Janusz Marciniaka w domu Kazimierza Deyny w San Diego



Trofea w domu Kazimierza Deyny w San Diego

„MIAŁ ŁZY W OCZACH, CHCIAŁ WRÓCIĆ DO POLSKI, DO RODZINNEGO MIASTA”

To opowieść o wielkim talencie, sławie i tragicznym końcu. Pochodzący ze Starogardu Gdańskiego Kazimierz Deyna stał się symbolem potęgi polskiego futbolu. Rozumiał piłkę, jak mało kto. Na murawie brylował. W życiu, poza boiskiem mówiło się, że nie zawsze umiał sobie poradzić. Był małomówny, skryty, może nieśmiały i łatwo ulegał różnym pokusom...

Kinga Furtak

Wracał autostradą do domu w San Diego. Jechał szybko, zbyt szybko. Mówi się, że nie zauważył zaparkowanej na skrajnym pasie ciężarówka, która miała włączone światła awaryjne. Może zasnął za kierownicą... Jego dodge colt z impetem uderzył w pojazd. Kazimierz Deyna zginął na miejscu. Wiadomo, że w czasie, kiedy doszło do tragedii, borykał się z problemami w życiu prywat-

nym. Policja nie stwierdziła śladów hamowania. Był 1 września 1989 roku...

Był unikatowy

Mówili o nim „generał”, „dyrygent”, „król środkowego pola”. Wciąż jest uznawany za najlepszego polskiego piłkarza. Popularny „Kaka” urodził się w Starogardzie Gdańskim, w 1947 roku. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Miał ośmioro rodzeństwa. Ojciec pracował w młeczarni, a matka zajmowała się domem.

Jako mały chłopak, grał na podwórku w piłkę nożną, przykuł uwagę działaczy nieistniejącego już klubu Włóknierz Starogard Gdański. Trenerem, który w niego uwierzył i pozwolił dołączyć do drużyny, był Henryk Piotrowski. Tu rozpoczęła się jego historia

W kolejnych latach rozwijał sportowe skrzydła i wspinał się na sam szczyt.

Przez większość kariery Kazimierz Deyna był związany z Legią Warszawa, z którą

zdołał zdobyć dwa tytuły mistrza kraju w 1969 i 1970 r. oraz Puchar Polski w 1973. W 1970 r. stołeczny klub awansował do półfinału rozgrywek o Puchar Europy, którego dzisiejszym odpowiednikiem jest Liga Mistrzów.

Dzięki swojej grze w Legii stał się jej największą legendą. Żaden inny legionista nie doczekał się pomników.

Przez lata starały się o niego największe kluby europejskie: Real Madryt, AC Milan, Inter Mediolan, Bayern Monachium

czy AS Monaco. Jednak władze PRL nie pozwalały mu na wyjazd z kraju do innego klubu. Udało się to w 1978 roku. Deyna trafił do angielskiego Manchesteru City. Gdy pojawiła się okazja transferu do Stanów Zjednoczonych, skorzystał z niej. Grał tam w barwach San Diego Sockers i rozpoczął swoje amerykańskie życie. Polonia trzymała się wtedy razem. Były spotkania, urodziny, wyjazdy.

- Spotkałem Mariolę Deynę na przyjęciu, na którym bawiła się Polonia - wspomina Janusz

Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny. - Kazika wtedy nie było. Grał mecz na wyjeździe. Impreza się skończyła i okazało się, że nie ma nikogo, kto mógłby zawieźć Mariolę do domu. Zapytała, czy mogę jej pomóc. Zgodziłem się. Pod domem wymieniliśmy się numerami telefonów. Mariola zadzwoniła za tydzień. Zapytała, czy mógłbym odwiedzić Kazika na lotnisko, bo leci na mecz. Zgodziłem się natychmiast, czekałem na moment, w którym mógłbym go poznać.



FOTARCHIWUM PRYWATNE

Janusz Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny ze Stanów Zjednoczonych

Tak się zaczęła nasza znajomość. Coraz częściej odwoziłem go i odbierałem z lotniska. Po drodze zawsze kupowałem kwiaty dla Marioli. Zaczęliśmy spędzać więcej czasu, lubiliśmy rozmawiać. Nasza znajomość się zacieśniała. Kazik szczególnie lubił spędzać wolny czas na bajecznej wyspie Coronado. Jeździliśmy tam w trójkę z jego żoną. Spotykaliśmy się regularnie 2-3 razy w tygodniu. W dniu 40 urodzin zrobił mi wielką niespodziankę. Zaprosił do siebie do domu, a tam przygotował przyjęcie. Był tort, szampan i miła atmosfera. Wzruszyłem się... Kazik był gwiazdą, ale nie udawał gwiazdy. Nigdy nie stał się celebrytą. Był niesamowicie skromny. Między nami nawiązała się szczerzy kontakt od samego początku. Było zaufanie i szczerść. Tak, tam była po prostu prawdziwa szczerść... Kazik bardzo to cenił.

Wśród Polonii były osoby, które dzięki znajomości z krajaniem chciały coś zyskać. Najczęściej były to darmowe wejściówki na mecz.

- Ja nie prosiłem o takie rzeczy - wspomina Janusz Marciniak. - Mówiłem Kazikowi, że sam kupię bilet. Później przestałem to robić, bo nalegał, by mi je sprezentować. Dał mi też swoją kartę wjazdową na parking przy stadionie (na wystawie w niedawno otwartym starogardzkim Centrum Deyny można zobaczyć kopię tej wjazdówki). Nasza znajomość trwała długie lata. Mieliśmy plany, by razem przyjechać do Polski odwiedzić rodzinę jego strony... Bardzo tego pragnął. Czuł swoje korzenie. Niestety, to się nie udało.

W rodzinie Deynów z czasem pojawił się kryzys. Stało się to w czasie, gdy został oszu-

kany i stracił wszystkie pieniądze.

- Po meczach coraz częściej wracał do mojego domu - wspomina nasz rozmówca. - Na dwa tygodnie przed jego śmiercią widzieliśmy się po raz ostatni. Wyglądał już inaczej, inaczej też się zachowywał. Wiadomo było, że jest źle. Mówił prawdę, ale nie narzekał. Powiedział, że rozstał się z Mariolą. 1 września o 6 rano dostałem telefon od jego nowej partnerki. Powiedziała, że Kazik nie żyje...

- Kaziu zapisał piękną kartę w historii w futbolu. Na cztery dni przed jego śmiercią złożyłem mu propozycję, aby wrócił do kraju i dołączył do mojego sztabu w reprezentacji Polski. Było to w obecności ówczesnego prezesa związku Kazia Górskiego. Uważałem, że po tym, jak okradł go pan Miodonski, była potrzebna mu pomoc... - opowiada nam Andrzej Strelau, który przez wiele lat współpracował z ikoną Legii. - Gdyby mnie posłuchał i wrócił do kraju, to by żył.

Upamiętnienie legendy

Prezydent miasta z gronem współpracowników zastanawiał się, w jaki sposób uhonorować Kazimierza Deynę. W Starogardzie Gdańskim była już ścieżka edukacyjna po-

święcona piłkarzowi. Zaczyna się przy jego domu rodzinnym, który ozdobiony jest muralem z jego podobizną. A ostatnim miejscem na szlaku jest stadion miejski noszący imię Kazimierza Deyny. Jest tam również jego rzeźba, która „siedzi” na stadionowej trybunie. W mieście jest również jego rondo.

- Poseł Kazimierz Smoliński, zaproponował, by powstało centrum imienia naszego znakomitego piłkarza, które byłoby poświęcone tej wybitnej postaci - wspominał Janusz Stankowiak podczas uroczystości otwarcia Centrum Deyny.

Od samego progu centrum można stać się świadkiem wielkiej historii i czujemy ją na własnej skórze. Przekraczając próg multimedialnej wystawy przenosimy się w czasie. Klubowa szatnia, gdzie wiszą koszulki wybitnego piłkarza i sam Deyna uśmiechnięty z ekranu szykujący się do sportowych rozgrywek. Z szatni wychodzimy wprost na boisko. Wita nas tłum kibiców Legii, którzy skandują swoją pieśń - „Deyna Kazimierz! Nie rusz Kazika, bo zginiesz” po tak energicznym wstępie emocje wzrastają. Czuć, że to będzie wielka przygoda.

- Tu wracają wspomnienia z czasów młodości - mówi Marek Chabowski, który już

STARAŁY SIĘ O NIEGO NAJWIĘKSZE KLUBY EUROPEJSKIE. JEDNAK WŁADZE PRL NIE POZWALAŁY MU NA WYJAZD Z KRAJU DO INNEGO KLUBU



FOTARCHIWUM PRYWATNE

Kazimierz Deyna z żoną Mariolą

WŚRÓD POLONII BYŁY OSOBY, KTÓRE DZIĘKI ZNAJOMOŚCI Z KRAJANEM CHCIAŁY COŚ ZYSKAĆ. NAJCZĘŚCIEJ BYŁY TO DARMOWE WEJŚCIÓWKI NA MECZ

pierwszego dnia po otwarciu odwiedził Centrum Edukacyjno-Sportowe im. Kazimierza Deyny. - Doskonale pamiętam moment, w którym poznałem tatę Kazimierza Deyny. Pracował wówczas w jednym zakładzie z moim ojcem. Któregoś dnia, obaj po pracy przyszli do naszego domu. Mieliśmy biało-czarny telewizor, którego Deynowie nie mieli. Siedziałem obok pana Franciszka, który z dumą patrzył na poczynania syna na boisku. Jak usłyszał słowa komentatora Jana Ciszewskiego, że Kaziu rządzi środkiem pola, to zakręciły mu się łzy w oczach. Kazika wszyscy kochali w Starogardzie - wspomina. - Dwa lata temu byłem w muzeum Ronaldo na Maderze. Obiekt ze Starogardu Gdańskiego jest również na wielkim poziomie, jestem pod wrażeniem, że coś takiego powstało w naszym mieście.

Te słowa potwierdzają również eksperci.

- Kilka lat temu dowiedziałem się, że w Starogardzie Gdańskim ma powstać muzeum poświęcone Deynie. Stwierdziłem, że pomogę przy realizacji tego przedsięwzięcia. Nasza współpraca trwała ponad dwa lata. Teraz wszędzie oszczędza się pieniądze i myślałem, że będzie to skromny obiekt. Ale to, co zobaczyłem w lipcu 2025 roku wprowadziło mnie w osłupie-

nie. Muzeum wygląda imponująco - podkreśla Stefan Szczepłek guru dziennikarstwa sportowego, pisarz, komentator sportowy, historyk piłki nożnej. - Starogard Gdański nie jest wielkim miastem, a ma wielkie muzeum. Miejsce jest fenomenalne.

Wiele pamiątek w Centrum Deyny pochodzi od jego przyjaciela z San Diego - Janusza Marciniaka.

- Gdy tylko dowiedziałem się, że powstaje takie miejsce, to od razu wiedziałem, że chcę przekazać pamiątki. Są cenne i chcę, żeby przetrwały - przyznaje. - Wśród nich są koszulki, w których grał Kazik, proporzki, zdjęcia. Centrum jest przepiękne. To światowa klasa! Jest tu po prostu wspaniale i trzeba chwalić się tym miejscem.

Jest też mnóstwo innych pamiątek również tych bardzo osobistych. Można tu zobaczyć pozew rozwodowy od jego żony Marioli.

Na wystawie znalazła się m.in. Brązowa Piłka redakcji „Kicker” za trzecie miejsce w plebiscycie na najlepszego piłkarza świata w 1974 roku, piłka z autografami Orłów Górskiego z mundialu 1974, buty Huragan oraz proporzki Zakładowego Klubu Sportowego Włóknarz, w którym stawiał swoje pierwsze kroki. A to dopiero początek tej historii

Przeźrzenie pełna wspomnień

Na parterze Centrum Deyny uwagę przyciąga wielofunkcyjna sala szkoleniowa - serce obiektu. To tu odbywać się będą spotkania, wykłady, szkolenia i zajęcia teoretyczne nie tylko członków Akademii Piłkarskiej Deyny. Obok znajduje się reprezentacyjny hol z częścią wystawienniczą i sklepikiem z pamiątkami sportowymi.

Piętro to miejsce na chwilę oddechu - klubokawiarnia zaprasza na kawę, a przestrzeń ekspozycyjna prowadzi wprost do świata Kazimierza Deyny. Multimedialna wystawa, uzupełniona unikatowymi pamiątkami, pozwala zanurzyć się w historii piłkarza, który rozślał polski futbol na całym świecie.

To miejsce, które ma łączyć pokolenia: od najmłodszych adeptów piłki nożnej, przez kibiców, po mieszkańców szukających przestrzeni spotkań i inspiracji.

Ważnym elementem projektu Centrum Deyny jest Akademia Piłkarska Deyny, którą prezydent miasta powołał w październiku 2024 r. Z ideą jej powołania i celami, jakie stawiają sobie i swoim podopiecznym operatorzy Akademii, uczestnicy otwarcia Centrum Deyny zapoznali się poprzez krótką prezentację filmową.

Jak powiedział jeden z jej operatorów Karol Kolasiński - Akademia Deyny to nowoczesny klub sportowy, którego filarem jest marzenie Kazimierza Deyny o powrocie do Polski i założeniu szkółki piłkarskiej. Kazimierz Deyna symbolicznie wrócił do swojego rodzinnego miasta. Jego historia nigdy nie zginie.

PRZEMOC W REKAWICZKACH. KARETKA MIAŁA BYĆ RATUNKIEM, A STAŁA SIĘ SCENĄ TRAGEDII OLKA

Miał 19 lat i plany: matura, studia... Błagał ratowników: „Nie chcę do taty!” Usłyszał: „A gdzie jest tata?”. Odpowiedział: „Nie żyje”. Medycy byli niewzruszeni. Chwilę później... Olek był u taty

Aleksandra Pasis

Wolał o tlen, a dostał milczenie i gniew. To nie był film. Grudziądź pamięta, prawda ma twarz. Śmiech zamiast pomocy, słowa jak nóż - to fragment tekstu piosenki Emasyka, która powstała spontanicznie, w czasie marszu pamięci tragicznie zmarłego Olka, który odbył się tydzień temu. Ulicami Grudziądza przeszło kilkaset osób.

Parę dni później przechodzę w miejscu, gdzie doszło do feralnej interwencji: przy przystanku obok I LO. Robię zdjęcia mnóstwa zniczy, które płoną pod murem poświęconym Olkowi. Słyszę, jak obok mnie pasażerowie czekający na autobus żywo dyskutują: - Panie, był pan na marszu? - kobieta pyta starszego mężczyznę. Senior odpowiada: - Nie byłem. Wzburzona grudziądzanka opowiada: - Ja byłem. To milczenie było głośniejsze niż krzyk. Czy pan sobie wyobraża, że ci lekarze, zamiast do tchawicy, intubowali Olka do przewodu pokarmowego?

Za chwilę słyszę znajome dźwięki „The Sound of Silence”. Kątem oka widzę, że inna pasażerka ogląda w telefonie wideo-relację z marszu opublikowaną przeze mnie na portalu naszej gazety. Wybrałam do niej właśnie ten podkład muzyczny...

Widać, że mimo upływu czasu mieszkańcy Grudziądza pozostają poruszeni tą sprawą.

„To nigdy nie powinno się wydarzyć”

- Tarana wciąż krwawi. To nigdy nie powinno się wydarzyć - powtarza zrozpaczona mama Olka, Małgorzata Shahbazyan.

Choć od śmierci Olka minęły dwa lata, to dopiero teraz cała Polska dowiedziała się o dramacie jej syna. - Nie miałam innego wyjścia - tłumaczy. - Czekam już dwa lata na sprawiedliwość. Winni śmierci mojego syna wciąż nie stanęli przed sądem, dlatego postanowiłam działać i zwróciłam się do mediów.

Nagrania z monitoringu karetki oraz z kamer nasobnych policjantów opublikowała telewizja TVN. To był zapis brutalnego potraktowania cierpiącego z bólu 19-latkę, który potrzebował natychmiastowej pomocy po tym, jak uciekając policjantom, nadział się na metalowy pręt ogrodzenia boiska



Nagrania z karetki, w której Olek prosił o tlen, a dostał pogardę i był szarpany przez medyków, obiegły całą Polskę

I LO przy ul. Sienkiewicza w Grudziądzu.

Policjanci próbowali pomagać rannemu chłopakowi, ale robili to dość chaotycznie. Jeden z nich krzychał „krwawi w...uj”. Wezwali karetkę. Patrol, który zatrzymał Olka, a powodem miało być popełnienie wykroczenia i wyrzucenie „czegoś” podczas ucieczki. Policjanci byli z Bydgoszczy, nie znali Grudziądza, więc o adres pytali przechodniów. Wreszcie, gdy ambulans dojechał (bez sygnałów, choć wezwanie było pilne), mundurowi, przekazując skutego w kajdankach Olka, stwierdzili, że „pajacuje”.

Przysięgali okazywać pacjentom szacunek

To, co działo się w karetce, którą przyjechało dwóch ratowników i lekarz, trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć. To były sceny, jakich nikt nie mógł się spodziewać: znęcania, męczenia, poniżania.

„Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Mistrzów nadany mi tytuł lekarza i w pełni świadomy związanych z nim obowiązków przyrzekam: (...) służyć życiu i zdrowiu ludziemu; według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich do-

bro i okazując im należyty szacunek (...).”

Powyższe to tekst przysięgi lekarskiej. Lekarze, którzy stanęli na drodze Olka, bez wątpienia nie wypełnili jej słów.

Na nagraniach zobaczyliśmy chłopaka wielokrotnie błagającego o tlen, mówiącego, że dusi się. Bez reakcji ratowników. Za to szarpano go za ucho, ubranie, szydzo. Jeden z medyków wytarł zakrwawione rękawiczki o ubranie 19-latkę i z ironią w głosie stwierdził: „pobrzdziło się”. Załoga karetki nie reagowała na poruszające do szpiku kości słowa Olka: „Nie chcę do taty”. Jeden zapytał „A gdzie jest tata?”. Usłyszał: „Nie żyje”.

Tę gehennę młodego chłopaka mogli przerwać lekarze z SOR-u szpitala w Grudziądzu, którym został przekazany. I oni nie pomogli.

Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu Olka było wykrawanie. Wykazała też, że chłopak nie zażył żadnych zakazanych substancji.

Powołani przez prokuraturę biegli wydali druzgocące opinie, wytykające zaniedbania medyków. Aktem oskarżenia objęto trzech lekarzy. Redakcja „Gazety Pomorskiej” informowała o tym jako pierwsza już w sierpniu ub. roku. O narażenie rannego Aleksandra na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu zostali oskarżeni:



W miejscu tragedii przyjaciele Olka wykonali mural. Po marszu pamięci zapłonęło tu mnóstwo zniczy

● Sławomir B. jako lekarz zespołu ratownictwa medycznego odstąpił od zebrania prawidłowego wywiadu, w tym obejrzenia miejsca zdarzenia i obrażeń rannego, a także podczas transportu do szpitala odstąpił od niezbędnych czynności medycznych. Sławomir B. nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, złożył wyjaśnienia, które oceniono jako w większości sprzeczne ze zgromadzonym materiałem dowodowym.

● Maksim D., lekarz SOR-u, który odstąpił od samodzielnej oceny sytuacji rannego oraz od wykonania USG uda.

● Marek O., anestezjolog z SOR-u; dopuścił do nieprawidłowej intubacji rannego (zamiast do tchawicy został intubowany do przewodu pokarmowego).

Maksim D. i Marek O. nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień. Z informacji uzyskanych z Prokuratury Okręgowej w Toruniu wynika, że dowodami przemawiającymi za sprawstwem oskarżonych były m.in. dokumentacja medyczna, zeznania świadków, opinie medyczne, zapisy korespondencji.

Medycy są oskarżeni z art. 160 paragrafy 2 i 3 Kodeksu karnego. Grozi im do pięciu lat pozbawienia wolności.

Agata Kurkowska, dyrektor szpitala w Grudziądzu, poproszona przez nas w sierpniu ub. r. o zajęcie stanowiska wobec aktu

oskarżenia trzech lekarzy, odpowiedziała jednym zdaniem: „Szpital nie jest stroną postępowania i nie komentuje spraw dotyczących indywidualnych pracowników”.

Proces miał ruszyć w listopadzie 2025 r. Nie rozpoczął się do dziś.

Gdy w styczniu br. cała Polska zobaczyła wstrząsające nagrania z karetki, dyrektor Kurkowska na drugi dzień współpracę z zespołem ratownictwa medycznego zakończyła. Takich konsekwencji nie wyciągnęła wobec anestezjologa i lekarza SOR-u.

W ludziach zawrzało

Pod adresem medyków wyłała się fala krytyki, ale i hejtu. W sieci padały surowe oceny:

Ewa: - Widziałam nagranie z karetki. To zwykli zwyrole, a nie ratownicy.

Piotr: - Cały czas wierzę, że winni poniosą surową karę.

Madzia: - Tu zawiniли ludzie, którzy mieli nieść pomoc. Bezdušność, obojętność w tych ratownikach.

Maria: - Bólu po stracie dziecka nic nie ukoł. STOP przemocy! Nie ma zbrodni bez kary! Nie ma zgody na takie traktowanie drugiego człowieka!

Szpital zwołał konferencję prasową, na której nie pojawiła się dyrektor Kurkowska, a przyszedł prezydent Grudziądza Maciej Glamowski i kilku lekarzy. Wygłosili oświadczenia, których

głównym przesłaniem było to, że na medyków i szpital wylał się hejt. Prezydent Glamowski wyszedł z sali, migając się od pytań dziennikarzy. Wyszli też lekarze.

Szpital i prezydent ratują wizerunek

Do dziś żadnych konsekwencji nie poniosła dyrektor szpitala Agata Kurkowska za to, że przez dwa lata od tragicznej akcji wciąż zatrudniała medyków, którzy dopuścili się tak karygodnych zachowań, a w przypadku lekarzy - popełnili krytyczne błędy, które wykazali biegli.

Prezydent Grudziądza, by ratować wizerunek, zlecił kontrolę w szpitalu. - Dalsze działania, także dotyczące ewentualnych kwestii personalnych, podjęte zostaną niezwłocznie po jej przeprowadzeniu - wyjaśnia Karol Piernicki, rzecznik prezydenta.

Kontrola ma objąć zakresem przestrzeganie obowiązujących procedur i przepisów prawa przy udzielaniu pomocy przez zespoły ratownicze. Wykonują ją dwie urzędniczki z ratusza.

W szpitalu z kolei powołano pełnomocnika ds. praw pacjentów. Została nim Magda Rohde, pielęgniarka. Będzie otrzymywała dodatek do wynagrodzenia. Powstał też zespół do spraw etyki, którego szefem został dyrektor ds. lecznictwa. W jego skład wchodzi jeszcze osiem osób. Członkowie zespołu dodatkowego wynagrodzenia nie będą pobierać.

Pełną kontrolę w zakresie prowadzonej akcji ratunkowej Olka zarządził też wojewoda.

Prokuratura badała też zachowanie policjantów podczas interwencji. Umorzyła postępowanie. Zażalenie na tę decyzję latem ub. roku złożyła mama Olka. 27 stycznia br. Sąd Rejonowy w Toruniu zdecydował, że właściwym do rozpoznania będzie Sąd Rejonowy w Grudziądzu.

W internecie trwa zbiórka na pomoc prawną dla rodziny Olka. Bliscy dążą do tego, aby nie tylko lekarz, ale też ratownicy z karetki usłyszeli zarzuty. Kilka dni temu zatrudnili adwokata.

- Najważniejsze w życiu to być dobrym, potrafić sobie podać rękę, a nie noże. Myślę, że jak Olek patrzy na nas, to jest szczęśliwy, bo widzi, że sprawiedliwości staje się zadość - mówi Lidka, siostra Olka. ©©

PRZEWORSK CZY WROCŁAW? WIELKA AWANTURA O OBRAZ

Ten obraz wygląda zjawiskowo. A i zjawiskowa jest jego historia. „Madonna z Dzieciątkiem” to dzieło, które zostało zrabowane przez Niemców w czasie II wojny światowej. Wrócił do Polski z Japonii w 2023 r.

Robert Migdał



FOT. PRZEMYSŁAW ŚLIWIŃSKI/INSTYTUT POLSKI W TOKIO

- Do połowy roku ma się wyjaśnić, czy cenny obraz „Madonna z Dzieciątkiem” pozostanie na stałe w muzeum w Przeworsku. Ministerstwo kultury jest „za”, musi tylko przeprowadzić analizy prawne zawartych umów – poinformował „Nowiny” poseł Bartosz Romowicz (Polska 2050). Na zdjęciu obraz w Instytucie Polskim w Tokio

Dzieło pojawiło się na chwilę w Nowym Jorku, by znów zapaść się pod ziemię, a kilka lat temu zostało wystawione na sprzedaż na aukcji w... Japonii. Na szczęście obraz udało się odzyskać i powrócić do Polski. Koniec historii? Zakończenie z happy endem? A gdzie tam! Tu się dopiero zaczyna prawdziwa akcja... Będzie walka o obraz? „Madonna z Dzieciątkiem” zostanie w Przeworsku czy przeprowadzi się do Wrocławia?

Autorstwo obrazu przypisywane jest włoskiemu artyście Alessandro Turchiemu (1578-1649). Jego powstanie datowane jest na koniec XVI lub początek XVII wieku.

Rok 1940. Obraz zostaje zagrabiony przez Niemców i wywieziony z Przeworska na Podkarpacie. Ślad po nim ginie.

Koniec lat 90. XX wieku. Dzieło pojawia się na aukcji w Nowym Jorku.

I w końcu rok 2022, Tokio. „Madonna z Dzieciątkiem” znów jest wystawiona na sprzedaż przez japoński dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego reaguje i walczy o odzyskanie dzieła.

- Natychmiast nawiązaliśmy kontakt, jednak ze względu na okres pandemii był on utrudniony. Barierą okazała się też kwestia kulturowa i historyczna. Wszystko udało się jednak doprowadzić do szczęśliwego zakończenia - mówił w lipcu 2023 roku ówczesny minister kultury prof. Piotr Gliński.

Dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. - po zapoznaniu się z historią dzieła i jego losami - w porozumieniu z posiadaczem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem” zdecydował się zwrócić dzieło do Polski bez żadnych kosztów. Obraz został przekazany nad Wisłę.

Ministerstwo zdecydowało wtedy, że „Madonna z Dzieciątkiem” trafi - co trzeba podkreślić, na stałe - do powstającego we Wrocławiu Muzeum Książąt Lubomirskich (tę inwestycję realizuje Zakład Narodowy im. Ossolińskich, spadkobierca - na mocy specjalnego porozumienia - za bytków należących wcześniej do Ossolineum.

Tymczasowo obraz trafił do muzeum w Przeworsku. Przypadek? Niekoniecznie, wszak tamtejsze muzeum mie-

ści się w pałacu należącym kiedyś do rodu Lubomirskich - tych samych, dzięki którym Ossolineum we Lwowie wzbogaciło się o bezcenne dzieła sztuki (przeniesione po II wojnie światowej na Ziemię Odzyskaną do Wrocławia).

W określeniach: „tymczasowo”, „na chwilę”, „w określonym czasie”, „do 2027” - mieszkańcy Podkarpacia widzą problem. I to duży.

Akcja „Nowin”

„Nowiny” z Grupy Polska Press z Podkarpacia rozpoczęły akcję na rzecz pozostawienia obrazu w muzeum w Przeworsku. „Wierzmy, że dzięki poparciu mieszkańców wspólnie zrealizujemy ten cel” - pisze redakcja. „Madonna z Dzieciątkiem” jest jednym z najcenniejszych dzieł sztuki znajdujących się w polskich zbiorach. Na razie dzieło wystawiane jest w muzeum w Przeworsku i owo »na razie« budzi poważne obawy o jego przyszłość” - podsumowuje Piotr Samolewicz, dziennikarz „Nowin”, w artykule „Madonna z Dzieciątkiem» powinna zostać na Podkarpacie”.

Dyrektor tegoż muzeum, Łukasz Mróz, w przesłanym do „Nowin” oświadczeniu napisał, że od początku zabiegał, aby obraz był używany do muzeum w Przeworsku na podstawie obowiązujących umów depozytowych i użyczenia długoterminowego. Obraz od 2 sierpnia 2023 roku eksponowany jest w Salonie Różowym Pałacu Lubomirskich (siedzibie mu-

zeum) i pozostanie tam co najmniej do dnia 30 lipca 2027 roku. Dzieło jest dostępne dla zwiedzających w ramach stałej ekspozycji muzealnej”. I dodaje: „Pozostawienie obrazu w Przeworsku znajduje uzasadnienie w jego ścisłym związku historycznym z Pałacem Lubomirskich oraz dziedzictwem Ordynacji Przeworskiej. Obraz znajduje się w dobrym stanie zachowania i jest eksponowany oraz zabezpieczony zgodnie z obowiązującymi standardami. Umowa użyczenia długoterminowego nie przesądza o przyszłym, stałym miejscu ekspozycji dzieła po jej zakończeniu, a ewentualne dalsze decyzje w tym zakresie pozostają w gestii właściciela i właściwych organów administracji publicznej”.

Sejmik podkarpacki: obraz musi być u nas

19 stycznia 2026 roku muzeum zwróciło się z wnioskiem do starosty powiatu przeworskiego o kontynuowanie „działań i rozmów z właściwymi organami do stworzenia warunków do dalszej prezentacji obrazu w muzeum w Przeworsku”.

Dodatkowo w ostatni poniedziałek - 26 stycznia - sejmik podkarpacki zdecydował, że „Madonna z Dzieciątkiem” powinna być na stałe - a nie tylko tymczasowo - pokazywana w Przeworsku.

- Umowa użyczenia tego obrazu podkarpackiemu muzeum jest zawarta do końca lipca 2027 roku. Po tym czasie minister

może podjąć decyzję o przejściu na własność obrazu przez Muzeum Książąt Lubomirskich, będącego integralną częścią Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu podlega ministrowi kultury i dziedzictwa narodowego i jest spadkobiercą lwowskiego Ossolineum, założonego także przez książąt Lubomirskich z Przeworska. Z rejestrów wynika, że ten obraz widnieje jako własność Muzeum Ossolińskich. Natomiast regułą muzealną jest to, aby obraz był tam eksponowany, skąd został zabrany. I obraz ten może wrócić do Przeworska. Komisja edukacji, kultury i kultury fizycznej wnosi, aby sejmik zaapelował do ministra o pozostawienie tego obrazu jako stałego depozytu w Muzeum Zespołu Pałacowo-Parkowego w Przeworsku - tłumaczyła „Nowinom” Ewa Draus, przewodnicząca komisji edukacji, kultury i kultury fizycznej podkarpackiego sejmiku.

Czy obraz - gdyby został na stałe w obecnym miejscu - będzie odpowiednio zabezpieczony?

Starosta powiatu przeworskiego Dariusz Łapa mówi „Nowinom”, że obraz jest bezpieczny, ale żeby był jeszcze bezpieczniejszy, powiat zapewni dodatkowe pieniądze na ten cel. - Jeśli będą potrzebne dodatkowe środki na zabezpieczenie obrazu przed kradzieżą i przed pożarem całego obiektu, to my je znajdziemy, tak by dzieło było bezpieczne - mówi starosta.

Co na to Ossolineum?

„Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego” - informuje Ossolineum. I czeka na rozwój wypadków. Będzie wojna między Wrocławiem a Przeworskiem? O obraz? Zobaczymy, co w tej sprawie postanowi ministerstwo i jaka jest determinacja tamtejszych mieszkańców.

DZIEŁO BYŁO WYKONANE DLA NAS!

Oto stanowisko dykcji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich przesłane do „Gazety Wrocławskiej”: „Obraz „Madonna z Dzieciątkiem”, polska strata wojenna, zrabowany z Przeworska przez Niemców i odzyskany w 2023 r., trafił do Muzeum Książąt Lubomirskich - Oddziału Zakładu Narodowego im. Ossolińskich decyzją Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego jako depozyt Skarbu Państwa. Dzieło było prezentowane we Wrocławiu w 2024 r., w ramach wystawy jubileuszowej „Historia nie/oczywista. 200 lat Muzeum Książąt Lubomirskich”, po której zakończeniu trafiło do Muzeum w Przeworsku, gdzie ma być wystawiane do czasu otwarcia wystawy stałej w Muzeum Książąt Lubomirskich. Obraz wpisany jest w jej scenariusz jako kontekst trudnej historii odzyskiwania polskich strat wojennych.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich od lat współpracuje z Muzeum w Przeworsku, którego dyrektor, Łukasz Mróz, był - obok dyrektora Ossolineum - obecny podczas uroczystego przekazania obrazu na Zamku Królewskim w Warszawie 7 lipca 2023 r. Obie instytucje współdziałają na wielu polach, dążąc do upamiętnienia roli ordynatów przeworskich jako kuratorów literackich lwowskiego Ossolineum. Dykcja Ossolineum z uwagą śledzi dyskusję na temat obrazu „Madonna z Dzieciątkiem”, jaka toczy się w podkarpackich mediach. Ossolineum stoi na stanowisku, że wszelkie decyzje w tej sprawie powinny być podejmowane na podstawie argumentów merytorycznych. Za pozostawieniem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem” w zbiorach Ossolineum przemawia np. fakt, że zapisy w dziewiętnastowiecznych dokumentach mogą wskazywać, że dzieło było przeznaczone do lwowskiego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego”.



FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W 2022 roku, po ponad 80 latach od wywiezienia z Polski, obraz odnaleziono na aukcji w Tokio przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Księżę Kardynał, skąd ten tytuł książki: „Idź i czyń dobro”?

To jest przesłanie ewangeliczne. Może nie wypowiedziane bezpośrednio, ale kiedy czytamy Ewangelię, to tam przede wszystkim istnieje „dzisiaj”. Mówi się o czasie, który jest nam dany. Dzisiaj nam jest dane, natomiast jutro dla nikogo z nas nie jest pewne. Więc jeżeli mam być dobry, to mam być dobry dzisiaj. I dlatego, nie zwlekając, trzeba czynić dobro dzisiaj, bo jutro już może nas nie być. Tu pobrzmiewają też słowa księdza Twardowskiego: Kochajmy dzisiaj ludzi, bo jutro ich może nie być. A kochać mamy wszystkich ludzi.

Z książki dowiadujemy się najwięcej o miłości do osób ubogich, bezdomnych, potrzebujących, dziś odrzuconych.

Ja staram się żyć logiką Ewangelii. To jest bardzo trudne - żyć Ewangelią bez komentarza, który na ogół ją rozwadnia. Mówi się w ten sposób: „Jezus powiedział, ale dzisiaj żyjemy w innym świecie, w innych okolicznościach”, i tak dalej, i tak dalej. Nie, Ewangelia jest dzisiaj aktualna i jest na dzisiaj. Czytamy Marka - jak się zaczęła publiczna działalność Pana Jezusa? Tak, że spotyka trędowatego, spotyka sparaliżowanego, a następnie spotyka Mateusza, zniemawidzonego celnika, i mówi: „Idź za mną”. Najpierw spotyka się więc z tymi, którzy potrzebują pomocy, którzy są opuszczeni, zanurzeni w grzechu, zanurzeni w cierpieniu. Tak jest. Jezus idzie. On idzie jako lekarz. Lekarza potrzebują ci, którzy się źle mają. Więc idzie najpierw do nich. I tak próbowałem to realizować jako jałmużnik i staram się nadal - dopóki jestem jałmużnikiem w imieniu Ojca Świętego - że to my biegniemy do tych, którzy się źle mają, i to my im pomagamy. Papież Franciszek mówił: „Zostaw to biuro, zostaw biurko, wyjdź na ulicę i szukaj Jezusa zranionego”. I to jest Ewangelia. To robił Jezus każdego dnia. Sam fakt, że to ludzie mają przychodzić po pomoc do nas, do urzędów, fundacji, to jeszcze nie Ewangelia w pełni. Ewangelia w pełni jest wtedy, kiedy my wychodzimy i szukamy. Myślę, że trafnie naszą Dykasterię określił papież Franciszek jako Pronto Soccorso, czyli Pogotowie Ratunkowe Miłosierdzia. To znaczy, że na wieść o tym, że coś się dzieje, biegniemy i szukamy, aby pomóc tym ludziom.

Ale czy musimy być w tym tak radykalni? Bo z Księdza książki wynika, jeśli ktoś ją tak na poważnie weźmie do siebie, że wręcz należałoby zmienić swoje życie.

Ale taka jest dokładnie Ewangelia. Jest bardzo radykalna. Do tego stopnia, że ta radykalność stawia wszystko na głowie, tak jak miłość. Proszę za-

– Jako jałmużnik Ojca Świętego staram się biec do tych, którzy się źle mają, i im pomagać. To nie oni mają przyjść do nas, ale my do nich. Tak robił Jezus, to jest Ewangelia, a ja staram się żyć logiką Ewangelii – mówi kardynał Konrad Krajewski. Przyznaje, że funkcja jałmużnika papieskiego całkowicie zmieniła jego życie. Niedawno za pomoc Ukrainie otrzymał medal od prezydenta Zełenskiego. Wydał też książkę-przesłanie: „Idź i czyń dobro”. W rozmowie z Vatican News opowiada m.in. o tym, co powiedział mu Leon XIV, o nocy spędzonej z bezdomnymi, wydawaniu ogromnych kwot na pomoc potrzebującym i mądrych wskazówkach papieża Franciszka

Wojciech Rogacin, Vatican News



Kardynał Krajewski: Zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się

KARDYNAŁ KONRAD KRAJEWSKI: MIŁOŚĆ JEST „STUKNIĘTA”

uważyć: miłość nie tylko jest radykalna, ale „stuknięta”. Jeśli miłość nie jest „stuknięta”, to nie jest miłością, ponieważ ona kieruje się zupełnie innym prawem niż to, które my sobie

ustalamy. Matka będzie kochać swoje dziecko, nawet jeśli ono jest w więzieniu. Taka jest miłość i Ewangelia, która wszystko stawia odwrotnie niż świat. Dlatego Jezus nam ciągle

przypomina, że nie jesteśmy z tego świata, że nie można stać okrakiem - i w świecie, i w Ewangelii. Jeśli jesteśmy w Ewangelii, to na pewno jesteśmy też w świecie. Jeśli jeste-

śmy w świecie, to nie znaczy, że jesteśmy w środku Ewangelii.

Papież Franciszek, jak czytam w książce, powiedział na początku Księdza posługi jako jał-

mużnika: „Jeśli chcesz wiedzieć, czego potrzebują bezdomni, idź do nich, spędź z nimi nocy wtedy będziesz wiedział”. Tak to wyglądało?

To wyglądało dokładnie tak, bo wszystkie te inicjatywy, które powstały, zostały sprovokowane przez papieża Franciszka. Ale papież tylko nadał kierunek, natomiast nie mówił, co to ma być i jak to ma być. Nam się może wydawać, że jak ja kupię bułkę i zaniosę ubogiemu na ulicę, to już jest pełne szczęście. Ale ja go nie zapytam, czy ma zęby, czy on tą bułkę może w ogóle zjeść. Czy on nie jest cukrzykiem. Czy on może jeść to, co ja mu daję. Natomiast gdy się usiądzie z bezdomnymi, nie trzeba wcale dużo mówić. To oni mówią, bo na ogół nikt ich nie słucha. To jest pierwsza rzecz. A druga, że dowiadujemy się rzeczy, o których byśmy nie myśleli. Na przykład na samym początku, kiedy zostałem jałmużnikiem i zacząłem ich słuchać, ci biedni mówili: „My nie mamy się gdzie załatwić”. Nie ma w Rzymie otwartych ubikacji. Turyści, kiedy przyjeżdżają do Rzymu, idą do baru i - kupując kawę - mogą iść do łazienki. A oni do baru czy do restauracji nie mogą wejść. A publicznych toalet nie ma. Więc utworzyliśmy toalety dla nich. Nie mieli się gdzie wykapać, więc otworzyliśmy natychmiast na Placu Świętego Piotra prysznic, gdzie 200 osób dziennie się kąpie. Jeśli już są umyjni, to potrzebują bielizny świeżej. Jeśli już są umyjni, przebrani, to dlaczego ich nie zbadać? Stąd powstał pomysł ambulatorium. Jeśli już są u nas umyjni i zbadani, to dlaczego mieliby nie pójść do fryzjera? Bo najwięcej mają problemów właśnie z chorobami skóry, z włosami. Więc powstał od razu zakład fryzjerski dla nich. I w ten sposób, słuchając ich, wiedziliśmy, co mamy robić.

Ale do tego też potrzeba ludzi chętnych, fryzjerów chociażby, czy lekarzy, którzy badają w ambulatorium. Skąd oni się biorą?

Więc tak: zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się. Podam przykład. Pojechałem do jednego z marketów i wziętem od razu 60 kg bananów - dwa olbrzymie pudła. Podszedłem do kasy z wózkiem i wtedy podchodzi do mnie jedna pani i mówi: „Ja wiem, dla kogo ksiądz te banany kupuje”. Wyciągnęła kartę płatniczą i zapłaciła. To jest odpowiedź na pana pytanie. Takie jest dobro. Jeżeli ludzie wiedzą, co my robimy, to bardzo chętnie pomagają. Często chcą pomagać, a nie wiedzą jak. A my wiemy. Robimy dokładnie to, co robiłby Jezus, więc leczymy ludzi z bezdomności, próbujemy im przywrócić godność, a jednocześnie da-

jemy im też posługę duchową, która jest bardzo ważna.

W jaki sposób?

Proszę zobaczyć, jak Jezus zareagował na paralytyka spuszczonego przez dach do pomieszczenia, w którym przebywał. Zapytał, co jest łatwiej powiedzieć: „Wstań, idź, jesteś uzdrowiony”, czy „Odpuszczają się twoje grzechy?”. Łatwo jest powiedzieć „wstań, idź”, bo przecież mamy pełne szpitale, tam się idzie po to, żeby odzyskać zdrowie. A konfesjonały wcale nie są takie pełne. Czyli o wiele trudniej jest przywracać godność człowieka, który ją otrzymał od Boga, niż wyleczyć człowieka. A te dwie rzeczy muszą iść w parze. Papież Franciszek bardzo często mnie pytał o to, czy zaspokajamy wszystkie potrzeby naszych biednych. To nie chodziło tylko o prysznic, o umycie się, dokumenty, ale pytał przede wszystkim, czy za pewniamy im pomoc duchową. Po pierwsze, czy ich słuchamy. Czy jesteśmy z nimi. Czy opowiadamy im o Jezusie.

Rozumiem, że opowiadacie.

Wie pan, kiedy jesteśmy z nimi, to oni sami pytają: „A dlaczego ty jesteś taki dobry dla nas?”. Ja wtedy najczęściej odpowiadałem to, co mi przychodziło zupełnie spontanicznie. Robię to, co by zrobił Jezus. I to jest właśnie odpowiedź na tytuł tej książki: „Idź i czyni dobro”. I jakiegokolwiek by nie były pobudki czynienia dobra, dobro jest dobrem.

Mówi Ksiądz Kardynał kilkakrotnie na łamach książki:

„Najpierw czyni, potem słowa”. Dlaczego?

Jezus szedł i dotykał ludzi, uzdrawiał. Czyny są bardzo ważne. W dniu, w którym rozmawiam z panem, czytana jest Ewangelia o powołaniu Mateusza. Ta Ewangelia mówi, że nie ma świętego, który nie ma swojej kiepskiej przeszłości. Mateusz miał fatalną przeszłość. Znienawidzony był, żył z grzechu, z poboru pieniędzy. Ale każdy grzesznik ma swoją przyszłość. I to daje Jezus. Jeżeli idę i uklęknię przy kratkach konfesjonału i powiem Jezusowi o swojej przeszłości, to już jej nie ma. Grzechy są odpuszczone. On nie tylko przebacza grzechy, ale obdarza mnie pokojem i mówi: „Idź i bądź święty”. To jest dzisiejsza Ewangelia. I jeżeli ją, wychodząc na ulicę, wprowadzę ją w czyn, wiedząc, że każdy z tych ludzi ma swoją przeszłość - ale Jezus nie męczy się Jego grzechami - to mój czyn pomaga temu człowiekowi przywracać godność.

Jesteście zawsze przygotowani, by pomagać?

Kiedyś była powódź w Rzymie i w jednej z dzielnic zalało bardzo dużą ilość domów. To się stało w sobotę i papież Franciszek

szek do mnie zadzwonił. Mówił: „Weź pieniądze i jedź natychmiast i tym rodzinom zapłać za hotel, żeby miały gdzie przemocować”. Ja mówię: „Ojciec Święty, ale jest sobota i banki są pozamykane”. On na to: „To ty jesteś jałmużnikiem i nie masz pieniędzy do dyspozycji na miejscu? Jak to jest możliwe? To jest tak, jakby ktoś miał łódź, a wiosła by były zamknięte na sobotę i na niedzielę”. Wtedy zrozumiałem, że nasza pomoc musi być zupełnie inna. Musimy być zawsze gotowi. Stąd zrodziło się to pojęcie pogotowia ratunkowego, które zawsze jest czynne.

Ksiądz Kardynał w książce bardzo często wspomina o wskazówkach, nawet ostrych przytykach papieża Franciszka...

Papież Franciszek był bardzo konkretny. To był człowiek, który w momencie, kiedy już dostał papieżem, miał ogromne doświadczenie życiowe i z tego skarbca swojego życia wyciągał rzeczy tylko istotne. Nie zajmował się narracją, tylko dawał konkretne rozwiązania. Pamiętam, jak pierwszy raz wysłał mnie na Lampedusę, kiedy przewrócił się statek i ponad 300 osób zginęło. Jak wychodziłem, to papież mnie jeszcze zawałał: „Konrad, Konrad, wróć. Najpierw idź do proboszcza i wszystkie swoje decyzje konsultuj z proboszczem”. I tak było. Jak zjechałem na Lampedusę, to proboszcza zapytałem, czego ci ludzie najbardziej potrzebują. Ci, którzy ocaleli, potrzebowali zadzwonić do swoich domów, żeby im powiedzieć, że przeżyli. Więc we wszystkich barach wykupiliśmy karty telefoniczne i rozdaliśmy tym biednym ludziom. Oni w kolejkach stali do telefonów, żeby zadzwonić na chwilę i powiedzieć: „Żyje. Brat nie żyje, ale ja żyję”. A mądrość papieża polegała na tym, że to nie ja robiłem zgodnie ze swoją logiką i myśleniem człowieka z Łodzi i z Polski, tylko zgodnie z jego wskazówkami. Jest słowo, które zawsze towarzyszy jezuitom: „rozeznanie”. Najpierw rozeznanie, jaką jest rzeczywistość i dopiero decydowanie.

Co jeszcze papież mówił Księdzu Kardynałowi?

Kiedyś przyjechałem bardzo zmęczony wieczorem po całym dniu. Papież mnie wezwał telefonicznie, żeby przyjechałem do niego. Mówię, że padam z zmęczenia. On mówi: „To bardzo dobrze. Bardzo dobrze, że nie wiesz, jak dojść do łóżka. Tylko czy byłeś dzisiaj na adoracji Najświętszego Sakramentu? Bo jeśli nie byłeś na adoracji, to jesteś pracownikiem socjalnym, a jeśli byłeś na adoracji, to reprezentujesz Jezusa”. To były takie wskazówki papieża Franciszka i mógłbym ich przytaczać tysiące. Nigdy od papieża nie

wyszedłem, żeby mi udzielił mi jakichś rad.

Czy rzeczywiście, zgodnie ze wskazówkami Franciszka, spędzał Ksiądz noce z bezdomnymi?

Spałem oczywiście w noclegowniach. Nawet w Polsce. Kiedyś spałem u braci albertynów w jednym pokoju z trzema bezdomnymi. Była taka śmieszna sytuacja, którą też potem opowiadałem papieżowi, że kiedy poszedłem się umyć, wracam - wszyscy siedzą na łóżkach, mimo że światło było zgaszone. Jakby się bali, że kardynał będzie spał z nimi. No i położyliśmy się. Była tylko lampa krakowska, która oświetlała okno, okratowane zresztą. W pewnym momencie wstał jeden, który nie spał w piżamie, a był cały w tatuażach. Usiadł na tym łóżku i mówi: „Muszę coś powiedzieć księdzu”. „Niech pan mówi”. „Ja jeszcze nigdy w życiu z żadnym kardynałem nie spałem”. Ja mu odpowiedziałem: „Ja też nie”.

Czytam w książce, że nie wszystkim działalność Księdza Kardynała tutaj, w Rzymie, się podoba.

Ale nie musi się wszystkim podobać. Proszę zauważyć, że działalność Jezusa do tego stopnia się nie podobała, że właściwie po każdym jego przemówieniu wyprowadzano go za miasto lub za wieś i chciano go ukamienować. I to jest zrozumiałe. Nie wszystkim się podobało, że papież Franciszek zorganizował prysznic pod kolumnadą Berniniego przy Placu Świętego Piotra, gdzie od tyłu wieków gwoźdźcia wbicie wolno, bo to jest tak szacowane miejsce kultury. Wtedy jeden z kardynałów mówił mi: „Zabieracie miejsce pielgrzymom. Dlaczego nie robicie tego na wzgórzu, tutaj niedaleko, gdzie są dość duże parki? W Watykanie jest tak ciasno. Nie ma miejsca”. Wtedy mnie coś natchnęło i odpowiedziałem temu kardynałowi: „To w takim razie dlaczego ksiądz kardynał mieszka w Watykanie, skoro tam jest tyle miejsca?”. Potem ten kardynał się zdenerwował i już na odchodne, kiedy zobaczył, jak wychodzi ktoś spod prysznicza z kanapką, mówi: „Jeszcze tylko kawy tutaj brakuje”. A ja na to: „Naprawdę! Tak!”. I poszedłem od razu kupić ciśnieńniowy zaparacz do kawy. I od tej pory przez tyle lat wszyscy biedni mają cafe latte i jaką chcą. My też rano po kąpielach chętnie zjemy ciastko, może usiądziemy przy kawie w szlafroku. Dlaczego bezdomni nie mają tego nie mieć? To nas może wkurzać, to nas może denerwować, ale takie jest przywracanie godności.

Ale te osoby, którym się pomaga, zwłaszcza bezdomne, one dalej prowadzą ten tryb ży-

cia. Pomagamy im, a jednak ich życie się nie zmienia. Jak to rozumieć, jak do tego podejść?

Ja się chyba z tysiąc razy już spowiadałem i bardzo często przychodzę z tymi samymi grzechami na nowo. I Pan Jezus moimi grzechami się nie męczy. Ja mam Go naśladować. Dlaczego mam się męczyć drugim człowiekiem, który na przykład nie może wyjść z bezdomności? Bo bezdomność staje się uzależnieniem i chorobą. My im pozwalamy spać pod kolumnadą Świętego Piotra. Mało tego, kupujemy im - co denerwuje niektórych - namioty. W tym miesiącu około 400 namiotów rozdaliśmy, aby zapewnić im jakąś intymność. Dlaczego mają spać zupełnie odsłonięci? My kiedy idziemy do sypialni, też zamykamy swoje drzwi. Więc przynajmniej tyle. Ale oni rano te wszystkie namioty składają i kolumnada jest dostępna dla turystów. To nie jest tak, że my ich zapraszamy do Watykanu, tylko oni tu czują się bezpiecznie. I myślę, że to dobrze o nas świadczy. Natomiast wszystkim proponujemy możliwość powrotu, choć nie robimy tego nachalnie. Oni zawsze wiedzą, że jeśli chcą wrócić do swojego kraju, do rodziny czy w inne miejsce, gdzie wydaje im się, że będzie lepiej, to my jesteśmy w stanie tego samego dnia wyrobić każdemu paszport. Mało tego - ubierzemy go, zdążymy pójść do fryzjera i tego samego dnia możemy go zawieźć na samolot. I na tym się nie kończy. Powiadomimy rodzinę albo miejscową pomoc charytatywną, żeby go odebrano z lotniska. Bardzo często są jednak tu tak długo, że już nie mają do kogo wrócić. Ich żony, dzieci się od nich odwróciły. Wiemy o tym, bo kiedy umierają, nikt nie chce odebrać ich ciała - tak daleko już zaszły sprawy. A one zachodzą daleko wtedy, kiedy nie ma przebaczenia. To jest to, o czym papież Franciszek mówił małżonkom, rodzinom, że możecie się klócić cały dzień, nawet talerzami możecie rzucać, ale nie położcie się spać, jeśli sobie nie przebacycie, bo potem wykopiecie tak wielki dół, że nie będziecie w stanie już żyć, pojednać się.

A jak Ksiądz Kardynał odpowiada na krytykę, że Kościół nie powinien być organizacją charytatywną?

To już słyszałem. My nie jesteśmy organizacją charytatywną. My czynimy to, co robiłby Jezus. A Jezus jest chyba najbardziej krytykowany na świecie i niechciany. Kiedy więc mam podjąć jakąkolwiek decyzję, to nie zastanawiam się, co napiszą w prasie, co będą mówili, tylko co by zrobił Jezus na moim miejscu - i to robię. A jeśli za to dostanę jakieś baty, to tylko potwierdza, że zrobiłem coś dobrego. Ojciec Święty Franciszek powiedział kiedyś:

„Uważaj, jak wszyscy będą klaskali, bo jest to strasznie niebezpieczne dla ciebie. Lepiej niech o tobie mówią źle, a ty rób to, co robiłby Jezus”.

Ksiądz Kardynał spotkał się z Leonem XIV. Na co zwrócił uwagę obecny papież?

Dotychczas był to okres Roku Jubileuszowego i Ojciec Święty wszedł w celebrację wydarzeń zaplanowanych przez papieża Franciszka. I właściwie teraz dopiero, sądzę, Ojciec Święty przedstawi nam własne akcenty i na to czekamy. Mnie Ojciec Święty powiedział, że kontynuujemy to, co było robione. Ale sądzę, że z czasem też nada temu jakiś własny charakter. Obrazowo przedstawię to tak. Mielśmy niedawno konkurs muzyki Chopina i właściwie wszyscy grali te same utwory, ale każdy grał inaczej. Natomiast wszyscy musieli trzymać się nut. Więc my wszyscy trzymamy się Ewangelii. Ale ta interpretacja Ewangelii, kolory Ewangelii mogą być różne i czekamy właśnie na te kolory papieża Leona XIV.

Książka „Idź i czyni dobro” mnie się kojarzy z przewodnikiem duchowym. Ona wymaga pewnej zmiany podejścia, może zmiany życia. Czy kiedy Ksiądz Kardynał został jałmużnikiem, to również wymagało zmiany życia?

Zmieniło się bardzo to życie. Papież cały czas mówił, że musi być wszystko zgodne z logiką Ewangelii, że jak nie wiesz, co zrobić, a do twojej polskiej głowy (papież bardzo lubił ten zwrot, mówił go zawsze, uśmiechając się) nie przychodzi żadne rozwiązanie, to szukaj w Ewangelii sytuacji podobnej, w której jesteś, i zobacz, co by zrobił Jezus. Papież mnie nauczył żyć codzienną Ewangelia i rozwiązywać wszystkie swoje sprawy za pomocą logiki Ewangelii, nie logiki świata. Wiele razy mówił: „Idź przed Najświętszy Sakrament i pomódł się. Idź i pokaż się Panu Jezusowi, czy ty Mu się podobasz”. To zmieniło wszystko. Papież Franciszek miał takie bardzo proste przesłanie. Mówił: „Będziesz zarządzał wielką ilością pieniędzy”. To są dziesiątki milionów euro, nieraz wydawane miesięcznie. I dodawał: „Nasze konto jest dobre, kiedy jest puste. A jeśli nie jest puste, to znaczy, że jesteś najbardziej leniwym Polakiem, jakiego znam”. I to wystarczyło. Wiedziałem, że mam robić wszystko, żeby te pieniądze pomagały innym, a nie żeby te pieniądze były.

Działania jałmużnika i Dykasterii ds. Posługi Miłosierdzia są zakrojone na szeroką skalę, także poza Rzym. Pomoc płynie do Afryki, Azji, do Ukrainy i wielu innych krajów...

To wielka pomoc z inspiracji Ojca Świętego.

To oznacza dysponowanie ogromnymi kwotami, które trzeba umiejętnie wydawać. W jaki sposób pomoc na tak wielką skalę się organizuje?

Jakby przyszło myśleć o tym, to byśmy nie dali rady. Natomiast życie przynosi wiele rozwiązań. Chociażby obecnie w kilku krajach azjatyckich przeszedł tajfun, niszcząc wielką liczbę domów i statków. Rodziny rybackie nie mają z czego żyć. Takie sytuacje zgłaszają nam nuncjusze. A jeśli sami się dowiadujemy, to pytamy, czy możemy pomóc i w jakiś sposób. Nuncjusz mówi, że zostało zniszczonych sześćdziesiąt łodzi rybackich, potrzeba nowych silników. Silniki kosztują tyle i tyle. I my drogą dyplomatyczną jesteśmy w stanie w ciągu jednego, dwóch dni te pieniądze przesłać i uratować życie tylu rodzinom. To jest kropla w morzu, ale morze stworzone jest z kropel, więc im więcej tych kropel, tym bardziej to morze jest zachwycające.

A te pieniądze skąd pochodzą?

One pochodzą z ofiar za pergaminu, których dziesiątki tysięcy wysyłały po całym świecie jako błogosławieństwa, i wszystko, co za nie przychodzi, jest rozdawane potrzebującym. Ludzie też widzą, co robimy, i dlatego wpłacają pieniądze. Zostawiają Ojcu Świętemu w testamencie lub przekazują za życia. Papież mi dawał do sprzedania samochody, które otrzymywał. Sprzedawaliśmy je za pięć-krotnie większą wartość niż miały. Dlatego, że ludzie wiedzieli, że te pieniądze pójdą do Gazy, na Ukrainę, na kartki, na leki, na szpitale w Afryce. Jedna z rodzin nam przekazała za życia papieża Franciszka 3 miliony euro na rzeczy sanitarne w najuboższych krajach Afryki, czyli np. na Madagaskar. I tam, za sprawą nuncjusza, powstało ambulatorium z tych pieniędzy. Jest to pomoc cały czas czyniona zgodnie z Ewangelia. Papież mi kilka razy powtarzał: „Pamiętaj, że gdzie są pieniądze, jest też diabeł, który tańczy. Jeśli będziesz robił to zgodnie z Ewangelia, to dobrze. Jeśli nie, to może się skończyć to więzieniem”. Papież nie bał się takich stwierdzeń.

Czy mógłby Ksiądz Kardynał przekazać także poradę praktyczną, właśnie jak papież Franciszek, dla tych, którzy chcieliby coś zrobić dla innych?

Jako człowiek wierzący, jako chrześcijanin, jak nie wiesz, co zrobić, to pytaj się, co by zrobił Jezus na Twoim miejscu. A jak Ci do głowy nie przychodzi, co by zrobił Jezus, to poszukaj w Ewangelii podobnej sytuacji, a zobaczysz, że to będzie sytuacja najpiękniejsza - najpiękniejsze rozwiązanie w Twoim życiu.

SZCZERA SPOWIEDŹ NORBIEGO: WYGRAŁEM ŻYCIE, ALE NAJPIERW PRZEGRAŁEM SIEBIE

– To nie do wiary, jak można kłamać: że matka w szpitalu, ojciec nie żyje, byle tylko pojechać grać. Hazard bazuje na oszustwie. Na kłamstwie. Na niestworzonych historiach – mówi Norbi, wokalista i prezenter telewizyjny, który historię swojego uzależnienia właśnie opisał w książce

Anita Czupryń

Kiedy ludzie słyszą „Norbi”, od razu odpowiadają: „Kobiety są gorące. Aha, aha”. Jak dziś patrzysz na to, że cały kraj śpiewał Twój refren? Śpiewa do tej pory! Wciąż gramy koncerty, i to sporo. W ubiegłym roku zagraliśmy ich 80. Kiedyś było powyżej 100, ale te 80 koncertów to też jest świetny wynik. Dziś na moje koncerty przychodzi 18-19-letnie dzieciaki i śpiewają te stare kawałki, bo pewnie mamusia z tatą mówili im: „Słuchaj, w latach 90. to był bardzo popularny koleś”. Od dwóch czy trzech sezonów obserwujemy taką tendencję, że ten target się powiększył. Nie dość, że przychodzą nasi ludzie, 35 i 40 plus, to również młodzi. Ciekawe zjawisko.

Tylko że wtedy, w latach 90., gdy cały kraj śpiewał, że „kobiety są gorące”, to Twoje prywatne życie zaczynało się sypać. Co wtedy czułeś? Nic nie czułem. Zagłuszały mnie alkohol, imprezy, bardzo duża liczba występów i cały ten show-biznes. Żyłem w swojej bańce. Bardzo późno wyciągnąłem wnioski.

Dziś wracasz z książką „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”. To Twoja spowiedź, bez filtra. Rzeczywiście jest tak, że aby wygrać własne życie, trzeba coś zapłacić jakąś cenę? Tak uważam, bo tak było w moim przypadku. Chociaż pewnie są ludzie, którzy przegrywają, podnoszą się, znowu upadają. U mnie było tak, że uderzenie o głębię nie było ostateczne. Nawet jak przegrywałem w kasynie

duże pieniądze, to one po chwili wracały; cały czas też dzwonił telefon, cały czas miałem kontrakty; grałem koncerty, zapraszali mnie na eventy i diabli wiedzą, co jeszcze. To jest jeszcze gorsza sytuacja niż naprawdę upaść raz, a kompletnie, leżeć i kwiczeć. Bo tu niby leżysz, niby jest „ojej, ojej”, a po miesiącu znowu jest super. Na terapii, na którą chodziłem później przez dwa lata, usłyszałem: „U ciebie to właśnie było najgorsze, że zawsze był dopływ gotówki”. Dopływ gotówki jest cały czas. A ja poruszałem się jak ten chomiczek w kołowrotku. Albo jak ten Syzyf szedłem pod tę górę, spadałem i znowu się wspinałem.

Jak pamiętasz ten moment, w którym powiedziałeś sobie: „Koniec z hazardem”? Opisałem to w książce. Moja żona Marzenka zobaczyła, że z naszego konta zniknęło 100 tysięcy złotych. Akurat wróciłem z koncertu. Zapytała: „Stary, gdzie jest 100 tysięcy? Sto koła nagle wyparowało?!” To była konkretna rozmowa. Teraz mówię o tym spokojnie, bez żadnych emocji, ale w tamtym momencie działo się jak na wojennym filmie, jakbym stanął przed plutonem egzekucyjnym. Żarty się skończyły. Marzenka powiedziała: „Zapraszam na terapię”. „No, dobrze” – odpowiedziałem. Ale jej to nie wystarczyło. „Ale co dobrze? Masz telefon, szukaj, dzwoń, umawiaj się”. Zabrała wszystkie moje dokumenty. Poblakowała konta. Nie poszedłem na prywatną terapię, tylko najpierw musiałem stanąć w kolejce z innymi

do psychiatry i powiedzieć, co jest grane. Dopiero wtedy skierował mnie na terapię, Marzenkę również, bo była współuzależniona. I tak przez dwa lata śmigałem. Ludzie, widząc mnie w ogólnej przychodni dla uzależnionych, bo nie jest wydzielone, czy to dla alkoholików, narkomanów, seksuoholików czy hazardzistów, śmiali się: „Norbas jest alkoholikiem”. Bo ludziom taka przychodnia kojarzyła się głównie z tym problemem, który w Polsce zdarza się najczęściej.

Zakaz grania, odcięcie od pieniędzy – jak to wtedy odbierałeś? Jako drogę do wolności czy przeciwnie, że nałożono Ci kajdany? Po pierwsze zdecydowałem, że to jest moja pokuta za te wszystkie lata. Po drugie, ucieszyłem się, że nie mam żadnych pieniędzy. Nareszcie. Poczułem się wolnym człowiekiem.

Od tamtej pory Twoja noga w kasynie już nie powstała? Nie. W ogóle nie ma takiej możliwości. Minęło już parę ładnych lat. Odbudowałem się i dziś wszystko pięknie się toczy, wspaniale mi się układa.

Ile pieniędzy przepuściłeś w kasynie?

**UMIAŁEM GRAĆ NA SKRZYPCACH,
BYŁEM NAWET NIEZŁY,
JAK MÓWIONO, ALE NA SCENIE
CZUŁEM SIĘ TAK, JAKBY MI KTOŚ
WSADZIŁ DO ŚRODKA KOŁEK**

Nie da się tego do końca precyzyjnie obliczyć. Przyjmuję, że rocznie w kasynie wygrywałem 500 tysięcy złotych. Następnie, w trakcie tego samego roku, przegrywałem to, co wygrałem, i dorzucałem jeszcze swoje 500 tysięcy. Obrót roczny wynosił więc półtora miliona, a przegrana to 500 tysięcy rocznie. No to policz. Jeśli tak na dobre zacząłem grać na początku lat 2000, z różnymi przerwami, a przestałem gdzieś w 2017, to przez te kilkanaście lat poszło parę ładnych milionów.

Siedem milionów złotych. Daleko mi do Michała Wiśniewskiego, który twierdzi, że w kasynie przegrał 40 milionów. Ale dziś to nieważne. Już nie ma znaczenia, czy miałem milion, czy 100 tysięcy, czy 10 tysięcy. Jeżeli w tym się jest, a miałem i takie momenty, że wygrywałem co miesiąc przez pół roku. Co poszedłem do kasyna, to wygrałem. W mojej chorej wtedy głowie pojawiły się wtedy takie myśli: „Po co mi te koncerty, te eventy, ten show-biznes? Przecież ja będę żył z hazardu”. Po czym mijano parę miesięcy, wygrywałem 500 tysięcy złotych, a za trzy, cztery dni przegrywałem wszystko i jeszcze dokładałem swoje. Tak to działało.

Show-biznes w tamtym czasie sprzedawał chodzenie do kasyna jako coś eleganckiego. Traktowałeś to jak do palacz, styl życia?

Pierwszy raz poszedłem do kasyna w 1999 roku. Kręciliśmy wtedy program w Gdańsku, dla telewizji. Ale ten mój złoty wiek kasynowy – jak to brzmi, swoją drogą – to są lata 2000. Wtedy już do kasyna chodzili różni ludzie, też nie bardzo bogaci, i uwierz mi, chodzili i zupełni biedacy. Tylko że w moim przypadku była jeszcze trzecia strona tego medalu: jak przegrywałeś w kasynie, to musisz cały czas pracować. Musisz dawać te koncerty, musisz o to zabiegać. Oczywiście, telefony wciąż dzwoniły, ale to był taki czas, że grałem wszędzie i za każdą stawkę, bo cały czas potrzebowałem dopływu gotówki, potrzebowałem hajsu. To było błędne koło.

W książce pojawia się zdanie, że grałeś w kasynie „żeby nie bolało”. Co Cię miało nie boleć: dzieciństwo, samotność, lęki, poczucie, że jesteś niewystarczający?

To jest tak: masz tych koncertów mnóstwo, więc wygląda na to, że ludzie cię lubią, chcą cię słuchać. Ale jest też grupa ludzi, która cię nie lubi, pokazuje ci fucka. Czyli z tej swojej bańki nagle wychodzisz gdzieś w Polsce i dowiadujesz się, że nie wszyscy cię kochają. Mnie to osobście bardzo wtedy dotykało. Przecież jestem takim fajnym gościem, takim wesołym koleśkiem.

Norbi, swój chłopak – mówili. Tak, właśnie. Ale jednak, jak widzisz, nie do końca. Hip-hopowcy mieli mnie za szmarciarza. Teraz patrzę na to z perspektywy czasu i to jest dość śmieszne, ale dwadzieścia parę lat temu zupełnie inaczej to wyglądało. Więc czułem się trochę jak alkoholik, który topi smutki w butelce. W kasynie nie tyle topiłem smutki, co kasyno było moją odskocznią. Oczywiście tam też podawali alkohol, więc chlało się na umór i jeszcze do tego grałem. I wszyscy mnie kochali. Każdy mnie akceptował, bo miałem pieniądze. Klepali mnie po plecach, kłaniali się w pas. Ale ja też byłem miły do krupierów. Nie było tak, że oto przychodzi Norbi, on ma hajs, to bądźcie dla niego mili. Sam też nie udawałem kogoś, kim nie byłem; potrafiłem rozśmieszyć towarzystwo, sprawić, że było wesoło. Nawet kiedy przegrywałem, to zawsze z klasą. Co za sformułowanie, swoją drogą, w takiej sytuacji.

W książce ujawniasz, że już w dzieciństwie pociągał Cię hazard. Skąd się u Ciebie wzięło się ten gen hazardzisty?

W rodzinie takich klimatów nie było. Ani matka, ani ojciec, ani kuzyni, nikt nie był zamieszany w ten proceder; tylko ja, i to od małego. Grałem na monety z chłopakami, wszystkie oszczędności ze Szkolnej Kasy Oszczędności przewaliłem w Krynicy Morskiej. W Olsztynie bywałem w salonach gier. Zawsze mnie do tego ciągnęło. Dlaczego? Diabli wiedzą.

Wygrana daje chwilową euforię, wyrzut hormonów szczęścia i to uzależnia. W Tobie wyzawało się poczucie, że jesteś szczęściarzem?

Kiedy wygrywałem, to, tak jak mówisz, była euforia, był ten substytut szczęścia, ale kiedy przegrywałem, to chciałem się odegrać. Ileż to razy obiecywałem sobie w trakcie tych lat, że idę ostatni raz, tylko się odegram. Minał miesiąc, dwa, czasami nawet przez pół roku nie zaglądałem do kasyna. Ale uzbierało się trochę grosza i... Jest takie ładne słowo: „delikatnie”. Używają go ci, co biorą narkotyki, i ci, co piją alkohol. Mówią: „Dziś delikatnie, tylko jednego drinka”, a kończą na 25 drinkach. Tak samo było tutaj: mówiłem sobie, że zagram delikatnie za 1000 złotych. Kończyło się na przegraniu 50 tysięcy czy 120 tysięcy.

7 milionów zostawić w kasynie to brzmi szokująco, ale też, jak mówią, pieniądze rzecz nabyta. Jaka jest prawdziwa zapłata za chodzenie do kasyna?

Prawdziwa zapłata jest straszna. Zaczniemy od zdrowia, bo to jest coś, co każdy ceni, choć, jak się okazuje, różnie z tym bywa. W moim wypadku była to nerwica. Nabawiłem się jej już wcześniej, a początku kariery. Trzy lata po moim wielkim sukcesie schudłem do 50 kg i nie wiedziałem, co jest grane. Neurolog w Olsztynie postawił diagnozę: nerwica wegetatywna somatyczna. Czyli kumulacja stresu z dzieciństwa, kiedy bardzo przeżywałem swoje występy ze skrzypcami i to, że pokazują mnie palcami. Wyobraź sobie, szedłem przez olsztyńskie Zatorze ze skrzypcami, kryjąc się, bo to był obciach. No, ale mimo wszystko chciałem grać na tych skrzypcach. Tylko że to się wiązało z publicznymi występami, życiem na świeczniku i z tremą. Umialem grać na skrzypcach, byłem nawet niezły, jak mówiono, ale na scenie czułem się tak, jakby mi ktoś wsadził do środka kołek. Trema mnie kompletnie rozwalala. I to się kumulowało. Kiedy już zacząłem występować jako Norbi, miałem jedną pio-



Norbi: Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moja adrenaliną jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym

senkę, która stała się hicio-rem, a musiałem zagrać godzinny koncert. Czasem bywało, że te „Kobiety są gorące” śpiewałem pięć razy. No, ale to były inne czasy. Odblokowałem się po drugiej czy trzeciej płycie, kiedy tych piosenek było już więcej. Natomiast to wszystko tak mnie sieknęło, że pojawiła się nerwica. Dostałem leki, po roku z 55 kg przybrałem do 85 kg i można powiedzieć, że było okej. Ale nigdy już nie było okej. Były nawroty, pojawiały się objawy takie jak przy padaczce. Jadę samochodem i nagle skaczą

pod sufit. Tych objawów jest zresztą cała masa: a to są lęki, a to skacze mi ciśnienie. Żeby była jasność, ja to wszystko mam do tej pory, mimo że nie gram w kasynie, że od 10 lat nie piję alkoholu. Najgorzszemu wrogowi nie życzę tych stanów, których doświadczam. Na szczęście nie są tak silne jak kiedyś, pojawiają się głównie przy zmęczeniu. Wiesz, nadal jestem wesołym człowiekiem, optymistycznie patrzę na świat, uważam, że jestem pod szczęśliwą gwiazdą urodzony, a odkąd jestem w show-biznesie, nigdy nie

miałem kryzysu ekonomicznego w tym sensie, że cały czas miałem robotę, cały czas telefon dzwonił i cały czas coś się działo. A przy muzyce popowej rzadko się to zdarza, zwłaszcza że mnie pogrzebali już po pierwszej płycie, w pierwszym roku kariery. Tymczasem w tym roku minie 29 lat, od kiedy gramy non stop koncerty i to jest to, z czego żyję. Przegrywałem w kasynie, ale, jak to mówimy w branży, job był cały czas. To dlatego ciężko jest się luzdźmiem wokół zorientować, że mają do czynienia z hazard-

dzistą. No, bo wiesz, jest samochód jeden, drugi, jest mieszkanie w Warszawie, mieszkanie w Olsztynie, wakacje we Francji czy Hiszpanii, miejsca może nie prestiżowe, ale też i nie takie, na które stać by było zwykłego Kowalskiego. Na pozór więc wszystko się zgadza. Oprócz pieniędzy (śmiech).

Zdrowie to jedno, ale co z innymi wartościami, jak rodzina, jak miłość?

Pierwszy rozwód nastąpił szybko, tylko że ja teraz patrzę na to w ten sposób, że kiedy się pierwszy raz ożeniłem, miałem 21 lat. Z córką, mimo hazardu, miałem dobry kontakt, potem się trochę popsulo, ale dziś relacje znowu mamy dobre.

Tylko jak wygląda małżeństwo i miłość w takim domu, gdzie jedna osoba jest hazardzistą?

Jeżeli grasz w kasynie, to bazujesz na kłamstwie, na oszustwie. Dla hazardu zrobisz wszystko. Wymyślisz niestworzone rzeczy. Po koncercie, zamiast wracać do domu, wymyślałem, dlaczego nie wracam od razu: bo w samochodzie pękły mi przewody od oleju i muszę zostać. A tak naprawdę wszystko jest okej, a ja tym samochodem jadę do Wrocławia czy Warszawy, żeby zagrać. Albo opowiadałem, że matka w szpitalu, że ojciec nie żyje. To były kłamstwa, które szły w mocno już skrajne opcje. Naprawdę, to nie do wiary, jak można kłamać.

W książce wypowiada się Twoja żona, ale też terapeuta, krupierka z kasyna. Której z tych osób najbardziej się obawiałeś, że oceni Cię najbardziej surowo?

No, Marzenki mojej. Mojej żony. Długi czas ukrywałem przed nią, że jestem hazardzistą, ona nie wiedziała, co się dzieje. Mówiła czasem: „Norbas, ja czuję, że u ciebie jest jakaś tajemnica”. Zapewniałem ją, że nie, mówiłem, że co ty, Marzenko. Nie mogła wyzłazić, co jest grane. Ale jak już zaczęła, to wybuch był potężny. Tylko widzisz, miłość to nie jest jakiś sloganik, który pisze się na okładce książki, bo to ładnie wygląda, że miłość wygrała. Tak, miłość wygrała, bo gdybym nie kochał tej dziewczyny i gdyby nie było tej miłości między nami, to teraz pewnie byśmy już ze sobą nie rozmawiali. Pewnie bym się już stoczył totalnie, albo bym grał w kasynie dalej. Ona mnie uratowała, ta dziewczyna. A mówi, że nic nie zrobiła. Wiadomo, gdybym ja też nie chciał, to nic by z tego nie było. Żaden terapeuta najlepszy nie pomoże, nie ma bata, jeżeli ty sam nie będziesz

chciał. Ale ja wtedy, dzięki Marzence, powiedziałem sobie: „Norbas, to jest twoja prawdziwa ostatnia szansa”. No i wykorzystałem ją.

Twoi znajomi, członkowie zespołu, nie wiedzieli o Twoim uzależnieniu od hazardu?

Koleżdy, koleżanki z zespołu – oni wiedzieli. No ale powiedz, co mogli zrobić? Mieli powiedzieć: „Norbas, nie graj”? Oczywiście, były rozmowy, ale nie działały. Mówiłem swoje i robiłem swoje. Nałóg to jest rzecz straszna. Uwierzyć, jestem dumny, że to po tylu latach się skończyło. Lepiej późno niż wcale – to przysłowie w moim przypadku ma sens i nie jest żadnym banałem.

Czy sam podczas terapii przeżywałeś jakiś bunt, czułeś ból odstawienia?

Śluchaj, ja jestem dziwolągami. Ale też każdy jest inny. We mnie ani przez sekundę nie było żadnego buntu. Uważałem, że wspaniale, że tak się stało, że to wyszło na jaw, że mleko się rozlało. Przez wiele lat grania czułem na klatce piersiowej ciężki głaz i kiedy to się wydało, to poczucie ze mnie zeszło, ten głaz spadł. To uratowało mi życie. Jakieś parę miesięcy przed końcem terapii pojechaliliśmy do Holandii, do siostry Marzenki, do miejscowości Roermond. To bardzo znana miejscowość z miasteczkiem outletowym. Marzenka z siostrą poszły na zakupy, umówiliśmy się, że spotkamy się za godzinę. Miałem czas, żeby samemu pochodzić po mieście. Poszedłem do jednego z food court, bo bardzo lubię frytki z majonezem i z cebulą, kupiłem, odchodzę i nagle przed moimi oczami pojawia się ogromny budynek, wielkości Galerii Mokotów, z ogromnym napisem: Kasyno. W Holandii nie miałem żadnych zakazów, zakazy miałem tylko w Polsce, a tu mogłem wejść i zrobić swoje. Ale słuchaj. Wziąłem frytki, odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Byłem z siebie bardzo dumny. Żadnych emocji. Zobaczyłam napis i poszedłem w drugą stronę.

Ze swojej depresji też swego czasu uczyniłeś tabu. Nikt się nie domyślał, że cierpisz, bo byłeś postrzegany jako człowiek zabawny i wesoły.

A w głębi duszy byłem roztrzęsiony. Próbowałem kiedyś mówić o tym w różnych programach, na przykład u Kuby Wojewódzkiego, ale zawsze były z tego heheszki, no bo wesoły gość, ma super życie.

Kasyna kiedyś wydawały się takim ekscytującym życiem.

Jak wygląda Twoja obecna codzienność? Chyba nie ma nudy? Rozmawiamy przez kamerę, bo właśnie jesteś w Tajlandii.

I jutro lecę do Malezji. Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moją adrenaliną jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym od konkurencji. Lubię koncerty, jaram się nimi. A z drugiej strony, nie biorę już wszystkiego, jak leci, tylko sobie wybieram. I to jest też dla mnie fajna sprawa. Jak i to, że polecimy na fajne wakacje. To są rzeczy, na które kiedyś nie zwracałem uwagi, bo bardzo skupiałem się na tym, żeby grać jak najwięcej koncertów za nieważne jakie stawki. Teraz patrzę na to wszystko z zupełnie innego pułapu.

Dlaczego postanowiłeś opowiedzieć o swoim uzależnieniu od hazardu w książce?

O hazardzie zacząłem napomykać kilka lat temu; pierwszy raz opowiedziałem o tym w podcaście u Mateusza Jędrasiasa, wtedy zrobiłem coming out. Potem u Wojewódzkiego i u Kędziora, u Żurnalisty. Dostałem fajny feedback od ludzi, którzy pisali do mnie z prośbą, czy mogę im pomóc, co mogę im poradzić. Co ja mogłem w paru zdaniach na Instagramie poradzić? Ale przynajmniej nie zostawiałem ich bez odpowiedzi. Dużo ludzi się do mnie zgłosiło w tym temacie. Wtedy pomyślałem, że fajnie byłoby opowiedzieć o tym szerzej, skoro jest taki odbiór i zgłaszają się do mnie ludzie, którzy mają z tym problem. A ja akurat jestem wiarygodny w tym temacie, bo spędziłem w kasynie masę czasu. Ucieszyłem się, że książkę zdecydowało się wydać wydawnictwo Luna. Nie patrzę za bardzo na apanażę; zależy mi, żeby tę książkę czytali. Ja opowiadam, ale świetnie spisała to Sylwia Borowska. Tak mówią też ci, którzy tę książkę już czytali, i ja w to wierzę.

KSIĄŻKA



Sylwia Borowska, Norbi, „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”

Wydawnictwo Luna,
Warszawa 2026

WERONIKA KSIĄŻKIEWICZ: BYŁAM W TRUDNEJ SYTUACJI ŻYCIOWEJ I STWIERDZIŁAM, ŻE NIE CHCĘ TAK DALEJ

Znaliśmy ją do niedawna przede wszystkim z komedii. Ostatnio pojawia się jednak w dramatycznych rolach. Tak dzieje się choćby w drugim sezonie serialu „Klangor”, który oglądamy w serwisie Canal+. W naszej rozmowie Weronika Książkiewicz zdradza, co sprawiło, że przeszła aktorską przemianę

Patryk Gzyl

Jagoda Zawisza z serialu „Klangor 2” to nieduża rola - ale znacząca. Lubi pani od czasu do czasu pojawić się na drugim planie?

To było tak: byłam najpierw na zdjęciach próbnych do głównej roli, ale niestety jej nie dostałam. Finalnie została wybrana inna aktorka. W tej sytuacji zaproponowano mi inną rolę. A że jestem dużą fanką tego serialu, nie uniosłam się dumą, długo się nie zastanawiałam i przyjąłam tę propozycję.

Kiedyś powiedziała pani: „Lubię filmy, w których są prawdziwe emocje i życie”. Taki jest serial „Klangor 2”?

Niestety tak. Mówię niestety, ponieważ serial ten opowiada o toksycznej męskości. Tacy ludzie i takie sytuacje często się zdarzają. Oczywiście w serialu pokazane są skrajne sytuacje. To ciemność bez tego przysłowiowego światła w tunelu. Każdy z nas ma jednak w sobie takie „czarne” obszary, możemy się więc w jakimś stopniu do tego odnosić.

Pani bohaterka doświadcza przemocy psychicznej w swym małżeństwie. Co

sprawia, że zgadza się na taki układ?

Jagoda jest symbolem wielu kobiet, które znajdują się w takiej sytuacji. Tkwią one w niej, ponieważ tak je życie ulepiło i nie mają siły, by zawalczyć o swoje. To nie znaczy, że są gorsze czy słabsze, tylko po prostu różne sytuacje z przeszłości, z dzieciństwa, czy powielane pokoleniowe schematy sprawiły, że nie znajdują w sobie mocy do tego, aby wyrazić swoje zdanie. Ba - często nawet nie wiedzą, jakie ono jest.

W jednej ze scen Jagoda opowiada o zjawisku zwanym „gaslighting”, które i ją dotknęło. Zna pani takie toksyczne związki z życia?

One są nagminne. Początki naszego dorosłego życia są wręcz ulepione z takich nieudanych i toksycznych związków. Cała sztuka polega na tym, żeby najpierw zobaczyć, że to są takie relacje, bo czasem niektórzy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że w nich tkwią, a potem - żeby wyciągnąć z tego wnioski, czegoś się nauczyć i zbudować siebie na nowo, aby kolejny związek taki już nie był. Po prostu musimy się uczyć na błędach.

Z tego, co wokół mnie się dzieje, to widzę, że takich pierwszych miłości, które przetrwały do grobowej deski, praktycznie nie ma. To zdarza się bardzo rzadko. Nie mam takiego przykładu wśród swoich znajomych. A nawet jeśli kiedyś wydawało się, że jakiś związek jest taką idyllą, to już w tej chwili jest po rozwodzie.

Jagoda ucieka od despotycznego męża w leki, których niebezpiecznie nadużywa. To chyba nigdy nie jest rozwiązaniem?

Na pewno. Zażywanie jakichkolwiek substancji odurzających jest próbą odciążenia się od siebie, wywołaną strachem przed zmierzaniem się z rzeczywistością. Czasem wolimy czegoś nie widzieć, bo wydaje nam się, że nie będziemy mieli siły do pokonania takiego problemu. Tak jest w przypadku Jagody.

Ostatecznie pani bohaterka traci męża w wyniku zabójstwa - i z jednej strony przeżywa żalobę, ale z drugiej widać, że czuje ulgę. Trudno było zagrać tak zniuansowaną postać?

Takie niuansy są dużo ciekawsze dla aktora do zagrania niż

stworzenie jednoznacznie złej czy dobrej postaci. Niejednoznaczni bohaterowie są po prostu bliżsi prawdziwego życia. Kiedy jesteśmy w jakiejś trudnej czy bolesnej sytuacji, to nasze reakcje są bardzo różne: czasem zaśmiejemy się czy zrobimy coś głupiego, nie jesteśmy tylko smutni czy przybici. Dlatego Jagoda była dla mnie bardzo ciekawym wyzwaniem do zagrania. Tym bardziej że jest ona postacią pomocniczą. Są w serialu sceny, w których nie ma jej fizycznie, ale wyjaśniają one jej sytuację i zachowanie.

Jagoda z „Klangora 2” to kolejna pani dramatyczna rola w ostatnich latach. Dobrze się pani w nich czuje?

Bardzo dobrze. I mam nadzieję, że takie role jeszcze przede mną.

Co jest takiego w tych dramatycznych rolach, że zechciała pani się z nimi zmierzyć?

To było moje wielkie marzenie. Chyba każdy aktor chce próbować grać różne rzeczy i mierzyć się z różnym repertuarem. Ciekawie jest penetrować zakamarki swej duszy w poszukiwaniu raz takich, a kiedy indziej innych emocji.

U nas jest tak, że kiedy zagrało się kilka ról komediowych, to nie znaczy, że nagle w pewnym momencie same zaczynają spadać z nieba role dramatyczne. Ja bardzo tego chciałam, ale na tym chceniu to się u mnie nie skończyło. Musiałam wykonać dużo wewnętrznej pracy sama z sobą, aby ten repertuar zaczął się zmieniać. Dlatego przez pewien czas odrzucałam propozycje zagrania ról podobnych do tych, które grałam już wcześniej. Czyli tych komediowych.

To chyba musiało być trudne?

Byłam tak pochłonięta pracą nad sobą, że nie skupiałam się na tym. W pewnym momencie uznałam, że to nie jest tak, że życie mi się przydarza i tylko występuję w tym, co jakieś zbiegi okoliczności mi przynoszą, ale to ja sama tworzę swe życie i kreuję je. Dlatego, kiedy parę lat temu nie grałam przez dłuższy czas, to wiedziałam, że mam swój cel do osiągnięcia i wiedziałam po co idę. Nie było to na pewno przyjemne, ale nie było to bez sensu. Wiedziałam bowiem, że to swego rodzaju narzędzie do zwrócenia się w tym kierunku, w którym bym chciała.

Co dało pani impuls, by zacząć taką pracę nad sobą?

To zawsze są w każdym przypadku trudne sytuacje życiowe. W tym jest źródło i siła. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły, ale myślę, że zawsze reguła jest ta sama. Kiedy stajemy przed ścianą i nie widzimy sensu w tym, co nas spotyka, chcemy to zmienić. Wtedy jest możliwość największej odmiany naszego losu. Ja też byłam w dosyć trudnej sytuacji życiowej i stwierdziłam, że nie chcę tak dalej. Że chcę żyć inaczej.

Ta przemiana najczęściej dziś odbywa się w gabinecie terapeuty. W pani przypadku też tak było?

Nie. U mnie to była bardziej duchowa przemiana. I w moim przypadku okazało się to bardzo skuteczne. Oczywiście nie chcę tu powiedzieć, że zostałam Dalaj Lamą. (Śmiech) Mam poczucie, że cały czas jestem w procesie. I wiadomo, jak to u każdego, raz są lepsze, a raz gorsze dni. Mam jednak przed oczyma to, jakbym chciała żyć - i do tego cały czas zmierzam.

Wszystko zaczęło się pięć lat temu od „Furiozy”, która okazała się przełomem w pani karierze. Trudno było przekonać twórców tego filmu, że potrafi pani wcielić się w Dziką? Bardzo. Zajął nam to dużo czasu. Tak się złożyło, że mam te same agentki, co Mateusz Banasiuk. Kiedy zaangażowano go do „Furiozy” i reżyser szukał aktorki do roli Dzikiej,

podsunęły mu pomysł spotkania się ze mną. Początkowo w ogóle nie chciał o tym słyszeć, ale kiedy odpadły inne kandydatki, zgodził się ze mną spotkać. Musiał na to wyrazić zgodę również reżyser obsady. Wymagało to więc od nas bardzo dużej wytrwałości, aby się dostać na te zdjęcia próbne. No a potem - pokazania się na tym castingu tak, żeby się udało. Była to więc można powiedzieć praca zespołowa. (Śmiech)

Do roli Dzikiej musiała pani zmienić swój wygląd - choćby obciąć włosy. Trzeba było przełamać jakąś emocjonalną barierę, żeby to zrobić?

Kiedy zaczęliśmy przygotowania do realizacji „Furiozy”, ustaliliśmy z reżyserem, że Dzika powinna mieć krótkie włosy. Wszystko to trwało ponad pół roku - były to rozmowy z aktorami, próby siedzące nad scenariuszem, jego nieustanne zmiany i bardzo dużo fizycznych treningów. Po upływie kilku miesięcy przyszedł czas na próby kamerowe. W „Furiozy” są sceny retrospekcyjne, kiedy Dzika ma kilkanaście lat i ginie jej brat. Ona ma wtedy jeszcze długie włosy. I właśnie od tych scen zaczęliśmy kręcenie filmu. Dlatego wiedzieliśmy, że to obcięcie włosów będzie na sam koniec. Tymczasem po tych próbach kamerowych reżyser przyszedł do mnie i powiedział: „Boję się, że bez tych długich włosów będziesz źle wyglądała. Nie obcinajmy ich. Zostań w długich”. Wtedy zaprotestowałam, bo bardzo chciałam tej fizycznej przemiany. Obcięcie włosów miało być taką wisienką na torcie tych długich przygotowań i ich dopełnieniem.

Mówi się, że zmiana fryzury przez kobietę to otwarcie nowego etapu w jej życiu. I tu chyba też tak było?

Samo obcięcie czy zmiana koloru włosów może nie ma aż tak symbolicznego znaczenia. Chyba że idzie w parze z pracą wewnętrzną. A u mnie tak było.

A jak się pani poczuła po tym obcięciu włosów?

Jakbym była naga. Długie włosy są czymś takim, że można się za nimi trochę schować czy nimi zasłonić, choćby spuszczać na twarz. Kiedy miałam jakiegoś wystawy sklepowe i widziałam swe odbicie w szybach, ze zdziwieniem konstatowałam: „O rany, to przecież ja!”. (Śmiech) Początkowo nie mogłam siebie rozpoznać, bo zapomniałam, że mam krótkie włosy. Po tygodniu przyzwyczałam się jednak i uznałam, że po prostu tak wyglądam i koniec kropka.

A jak sobie pani poradziła z wejściem w świat trudnych

emocji, przeżywanych przez Dziką?

To było niełatwe, ale ciekawe doświadczenie. Zagrałam tę postać na sto procent swych ówczesnych możliwości. Dzisiaj, zagrałabym ją jednak inaczej. Teraz bardziej bym się „puściła” w tej postaci. Co ciekawe przed wejściem na plan miałam zajęcia z choreografem ruchu. Nie miało to jednak nic wspólnego z tańcem, tylko polegało na znalezieniu właściwego sposobu poruszania się dla granej przeze mnie postaci. To było fascynujące: jak emocje i doświadczenia Dzikiej przenoszą się na jej ruchy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałam. Oczywiście wykonałam też pracę psychologiczną wspólnie z reżyserem i innymi aktorami.

Przy „Drugiej Furiozie” łatwiej było pani już wejść w świat Dzikiej?

Nie do końca. „Druga Furioza” to opowieść stricte o Goldenie, którego gra Mateusz Damięcki. Reszta to tylko postaci pomocnicze. Wiedziałam więc, że muszę zrobić to samo, co przy jedynce - tymczasem ja byłam już zupełnie inna, bo rozpoczęłam tę swoją wewnętrzną przemianę. Trudno było mi powtórzyć to, co zagrałam kilka lat wcześniej, a było to konieczne, aby została zachowana jakaś spójność tej mojej postaci. Tym bardziej że akcja dwójki toczy się równoległe z jedynką, tylko jest inny punkt widzenia. Nie było to więc do końca łatwe.

Zupełnie inną osobę zagrała pani w „Powrocie do tamtych dni”. Postać żony alkoholika to najtrudniejsza rola w pani karierze?

Praca nad tym filmem była niezwykła. Opowiadana w nim historia została bowiem zainspirowana dzieciństwem reżysera - Konrada Aksinowicza. Kręciliśmy w mieszkaniu wybudowanym na hali zdjęciowej, które było niemal idealnym odwzorowaniem jego prawdziwego mieszkania z lat 90., w którym się wychowywał. Tam były wniesione jego pamiątki, stały dokładnie takie same meble, jak ten pamiętny segment z wbudowanym łóżkiem. W efekcie wydawały się rzeczy niezwykle. Wie pan co to są ustawienia hellingerowskie?

Tak. To metoda terapeutyczna, polegająca na sesjach, podczas których ich uczestnicy wcielają się w role członków rodziny pacjenta, co pozwala na odkrycie przyczyn zaburzeń i ich uzdrowienie, często poprzez pojednanie z przodkami.

No właśnie. Coś podobnego działo się na tym planie. W pewnym momencie każdy z aktorów wiedział dokładnie co i jak ma grać. Konrad miał



Weronika Książkiewicz: Chyba każdy aktor chce próbować grać różne rzeczy i mierzyć się z różnym repertuarem. Ciekawie jest penetrować zakamarki swej duszy w poszukiwaniu raz takich, a kiedy indziej innych emocji

ze sobą podczas zdjęć coś, co nazywał swoją „biblią” - album z powklejanymi zdjęciami z dzieciństwa, odpowiadającymi konkretnym scenom ze scenariusza filmu. Pewnego dnia miałam zagrać z Mackiem Stuhrem, który gra alkoholika. On leży na łóżku nieprzytomny, sikając pod siebie, a ja wchodzę i przyglądam się temu. Miałam w tej scenie „kostium bez kontynuacji” - czyli nienawiązujący do poprzednich scen. Poszłam więc do garderobianych i wybrałam sobie czarny golf i czarne legginsy. Wchodzę na halę, żeby zagrać tę scenę - a tu Konrad mnie zatrzymuje, otwierając tę swoją „biblię” i mówiąc: „Popatrz!”. A tam na zdjęciu jest jego mama dokładnie w takim samym ubraniu, jakie mam na sobie. A ja wcześniej tego nie wiedziałam. Te ustawienia hellingerowskie bardzo nam pomogły w budowaniu tych postaci.

Czuła pani wyjątkową odpowiedzialność, wcielając się w mamę reżysera?

Oczywiście. Kiedy kręciliśmy, mama Konrada jeszcze żyła. Spotykałam się z nią i rozmawiałam. Czułam więc odpowiedzialność, ale również presję, że ona to zobaczy. Bo przecież co innego jest być w centrum jakichś wydarzeń, a co innego potem obejrzeć to na ekranie. Moja bohaterka z „Powrotu” przypomina mi dziś tę z „Klangora 2”. To też

krucha i kryształowo czysta kobieta, która nie potrafi być inna. Nie ma w sobie tej niezbędnej siły, żeby coś zmienić w swym życiu.

Za partnera miała pani młodego chłopca - Teodora Kozia. Jakie to było doświadczenie grać z dzieckiem?

Teodor to bardzo zdolny chłopiec. Kiedy rozpoczynaliśmy zdjęcia, wszyscy byliśmy zdenerwowani i spięci, bez względu na to, czy chodziło o dorosłego czy dziecko. Tak też było z Teodorem - ale potem pięknie się rozwinął i świetnie w to poszedł. Był tak autentyczny w swych scenach, że wymagało to od nas nieco innego grania, aby nie wypaść przy nim zbyt teatralnie. Teodor był więc wspaniałym i wymagającym partnerem.

I powstał wyjątkowy film, w którym wielu Polaków może się odnaleźć.

To prawda. Po premierze mieliśmy dużo spotkań z widzami. Wiele osób zabierało głos, dziękując za ten film. To było wspaniałe - bo w takich sytuacjach wraca człowiekowi wiara w sens i misyjność aktorstwa. Ktoś powiedział: „To jestem ja. Ale nie wiedziałem co robię. Dopiero ten film mi to uświadomił”. A ktoś inny: „Widziałem coś takiego u moich sąsiadów”. Te rozmowy miały bardzo emocjonalny ton, momen-

tami nawet łały się łzy. To było dla mnie wspaniałe doświadczenie. Bardzo bym chciała, aby powstało więcej takich projektów.

Jednoznacznie negatywną bohaterkę zagrała pani niedawno w drugim sezonie „Gliny”. Trudno było wejść w postać Luizy, która zabija z zimną krwią?

Nikt się taki nie rodzi. Niestety, życie czasem lepi takie charaktery. Dla mnie zawsze jest ważne, aby nie oceniać postaci, w którą się wcielam. Czasem nie jest to jednak takie proste. Tak było przy wspomnianym „Powrocie do tamtych dni”. Kiedy przeczytałam scenariusz, byłam wzburzona i myślałam: „Jak matka może tak postępować? Jak może być taka dla swojego dziecka?”. Ale kiedy ochłonęłam, spróbowałam zrozumieć tę bohaterkę. Co sprawiło, że zachowywała się tak, a nie inaczej. I to była dobra droga.

W ten sposób aktorzy próbują „bronić” swą postać. Nie wiem czy „bronić”. Może raczej zrozumieć.

Luiza jest okrutna, ale też bardzo kobieca, wręcz kokieteryjna. To był dla pani ciekawy kontrast do zagrania?

Tak. Tam był cały wachlarz różnych emocji do pokazania.

I do tego widowiskowe sceny: pościg czy strzelanina.

Ja uwielbiam takie sceny! Jestem osobą bardzo aktywną fizycznie i jest to mocno wpisane w moje życie. Dlatego, jeśli mam okazję zagrania w scenach jakichś bójek czy pościgów, to zawsze jestem do nich pierwsza.

Nie korzysta pani z usług kaskaderki?

Czasem tak. W przypadku „Gliny” sama prowadziłam auto,jechałam nim do tyłu i strzelałam do przodu. To była wspaniała zabawa! Kiedy trafiam na plan takiego projektu, w moim przypadku nie wymaga to wyjątkowych przygotowań fizycznych. Jestem z miejsca na to gotowa, ponieważ ostro trenuję na co dzień.

Tak naprawdę nie zrezygnowała pani do końca z komedii. Bo przecież oglądaliśmy panią ostatnio w „Planecie singli 4”, „Zabij mnie kochanie” czy „Szczęścia chodzą parami”. Trudno się pani rozstać z tym gatunkiem?

Uważam, że ludzie powinni się jak najwięcej śmiać. Śmiech jest najlepszym lekarstwem na wszystkie kłopoty, ponieważ doskonale rozładuje emocje. Dlatego komedie są potrzebne. Nie mam więc zamiaru zupełnie z nich zrezygnować. Mówiłam tak wcześniej, bo miałam taki moment, że na chwilę musiałam je odstawić. Teraz mogę jednak kręcić również komedie - i mam takie w planach.

Takie filmy są okazją dla aktorki, aby pokazać się na ekranie od bardziej kobiecej strony.

(śmiech) Na pewno. Teraz jestem w takim momencie życia, że cenię sobie najbardziej komfort i wygodę, więc nie do końca przykładam uwagę do tych wszystkich kobiecych detali. Ale może powinienam trochę bardziej? Nie wiem. Jestem jednak w tej chwili skupiona na innych rzeczach. Dlatego kiedy pojawia się taki projekt, na planie którego trzeba się ładnie ubrać i umalować, to mi zupełnie wystarcza.

W każdym z tych filmów ma pani innego partnera. Raz jest to Tomasz Karolak, kiedy indziej Mateusz Banasiuk czy Michał Żurawski. Z którym czuła się pani najlepiej w parze?

Nie mogę nikogo wyróżnić, bo pozostali by się obrazili. (śmiech) Najwięcej filmów zrobiłam z Tomkiem Karolakiem i bardzo lubię z nim pracować, bo prywatnie się przyjaźnimy. A to pomaga w użytkowaniu tej przyszłowiowej „chemii” na ekranie.

Niebawem zobaczymy panią po raz trzeci jako kurator Irene Sochę w „Piep***ć Mickiewicza”. Skąd taki sukces tego filmu?

Jego zaletą jest to, że młodzi widzowie widzą w nim siebie. Główni bohaterowie to niedoskonałe i nieperfekcyjne postaci. To żywi ludzie z prawdziwymi problemami dzisiejszych nastolatków. Każdy z nich ukrywa swe słabsze strony, przywdziewając jakieś groźne pozy czy miny. A pod nimi kryją się ciepłe i dobre osoby.

Jak się pani pracowało w otoczeniu aktorskiej młodzieży?

Cudownie. Są pełni pasji i energii, zawsze przygotowani i skupieni. Uwielbiają spędzać czas na planie. To wielka przyjemność pracować z taką młodzieżą.

Dużo pani gra, a przecież wyszła pani dwa lata temu za mąż. Jak godzi pani rodzinne życie z takim nawałem pracy?

Staram się jak mogę. I chyba daję radę. (śmiech)

Syn Borys ma już 16 lat - czyli jest w wieku burzy i naporu. Jakie ma pani z nim relacje?

Bardzo dobre. Więcej nie mogę powiedzieć, bo zabrania mi mówić o nim w wywiadach. Bardzo ceni sobie prywatność.

Interesuje się aktorstwem?

Zupełnie nie. Ma inne zainteresowania niż ja.

Nie żałuje pani tego?

Nie. On ma swoje pasje, a ja staram się pomagać mu je realizować.

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/CANAL +

Osobowości Roku 2025 mieszkają koło nas

Dobre historie dzieją się obok nas - i zasługują na uwagę. To właśnie dlatego powstał plebiscyt Osobowość Roku. Ta akcja to opowieść o ludziach, którzy zmieniają naszą małą ojczyznę.

Ważne sprawy rozgrywają się nie tylko na wielkich scenach, ale też lokalnie. Wśród ludzi, którzy na co dzień działają w swojej małej ojczyźnie. W niej pracują, pomagają, tworzą, uczą, organizują. To właśnie te działania - często niedostrzegane szerzej przez innych - składają się na sens plebiscytu Osobowość Roku.

To tradycyjna nagroda, która od wielu lat jest co roku przyznawana laureatom wielkiego plebiscytu. Jest on organizowany w całej Polsce przez dzienniki regionalne i serwisy internetowe wydawnictwa Polska Press. To bardzo prestiżowe, ogólnopolskie wydarzenie. Cały plebiscyt zakończy uroczysta gala na Zamku Królewskim w Warszawie, a laureaci zostaną uwiecznieni na kartach wyjątkowego albumu.

Plebiscyt prowadzony jest jednocześnie we wszystkich województwach w kraju, oczywiście w naszym także. To właśnie u nas lokalni bohaterowie

dnia codziennego i ich historie zostają nazwane, opisane i pokazane szerzej - jako zbiór indywidualnych postaw, inicjatyw i wyborów, które realnie wpływają na życie innych. Kandydatów do nagród nominuje kolegium redakcyjne, a także Czytelnicy i Internauci, których głosami prestiżowe tytuły zostaną przyznane w sześciu kategoriach. Dzieje się to najpierw osobno w miastach i powiatach naszego regionu, a następnie na szczeblu województwa. I teraz właśnie jest ten czas, w którym uwaga skupia się na uczestnikach plebiscytu i ich drodze. Na tym, co robią i dla

czego robią to właśnie w ten sposób. - Właśnie zaczął się trzeci tydzień głosowania w akcji. Prowadzone jest w sześciu kategoriach: Kultura; Działalność społeczna i charytatywna; Biznes i Przedsiębiorczość; Polityka, samorządność i społeczność lokalna; Innowacje/Nowe Technologie oraz Nauka - bo Osobowość Roku to nie jest jeden typ działalności. To nie jest jedna definicja sukcesu. To wspaniała różnorodność doświadczeń, różnych środowisk, a także skali działania i motywacji. Łączy je jednak wspólny mianownik: pasja, zaangażowanie, wiara i konsekwencja

w działaniu - wyjaśnia Daria Jankiewicz-Kaczmarek, odpowiedzialna za organizację plebiscytu w całej Polsce.

Dziś prezentujemy kolejne sylwetki osób, których działania zostały zauważone w tegorocznej edycji. Każda z tych historii jest inna, ale wszystkie składają się na opowieść o ludziach, którzy swoim zaangażowaniem nadają sens codzienności i realnie wpływają na swoje otoczenie. To ten moment, w którym historie ludzi mieszkających koło nas wychodzą z codzienności i zostają zauważone. Pokazują, że zmiana zaczyna się blisko.



LIDERZY PLEBISCYTU W SKALI WOJEWÓDZTWA PO DWÓCH TYGODNIACH GŁOSOWANIA

Działalność społeczna i charytatywna



● **ALAN JAGIEŁŁO**, kadet XXVII Liceum Ogólnokształcącego im. Zesłańców Sybiru, Lublin.

Nominacja za wyjątkowe zaangażowanie w pomoc zwierzętom i dzieciom, bezinteresowne wsparcie domów dziecka i inicjatywy charytatywne, przekazywanie nagród i dzieł artystycznych na cele dobroczynne i aktywne ratowanie zwierząt, wykazując wrażliwość, empatię i gotowość niesienia pomocy.

Innowacje/ nowe technologie



● **MACIEJ WILIŃSKI**, właściciel firmy Ałtaj, Chełm.

Nominacja za wdrożenie innowacyjnej technologii produkcji płyt wielowarstwowych wykorzystywanych w modułowych ścianach budowlanych, co przyczyniło się do rozwoju sektora budowlanego w regionie.

Kultura



● **RADOSŁAW MICHALCZYK**, rzeźbiarz, twórca ludowy, Drobin, powiat bialski.

Nominacja za autentyczną i odważną twórczość rzeźbiarską w drewnie, łączenie naturalizmu z tradycją polskiej wsi, rozwijanie kultury lokalnej poprzez warsztaty i współpracę z inicjatywami społecznymi oraz tworzenie sztuki, która edukuje, porusza i buduje dumę z dziedzictwa regionu.

Polityka, samorządność i społeczność lokalna



● **MARCIN URBAN**, właściciel firmy Tynki Dekoracyjne Moore, Lublin.

Nominacja za niesamowite propagowanie sportu i Lubelszczyzny daleko poza granicami Miasto Lublin.

Biznes



● **ŁUCJA KALINOWSKA**, dyrektor Generalna PsychologiiJa sp. z o.o., Parczew, powiat parczewski.

Nominacja za dynamiczne i wizjonerskie zarządzanie sektorem usług psychologicznych i psychiatrycznych w Polsce, rozwój ponad 30 poradni, tworzenie systemów wsparcia dla dzieci i młodzieży, profesjonalizację sektora mental health oraz realny wpływ na życie tysięcy pacjentów.

Nauka



● **DR MARIUSZ SAWA**, historyk, Lublin.

Nominacja za badania nad relacjami polsko-ukraińskimi na terenie Ziemi Hrubieszowskiej i książkę „Pociski jak paciorki różańca. Armia Krajowa i Bataliony Chłopskie wobec Ukraińców w Sahryniu i innych wsiach powiatu hrubieszowskiego 9-10 marca 1944 roku”.

Codziennie motywuje Go świadomość, że choć ma 15 lat, może wprowadzać realne zmiany-

Piotr Kulaga (przewodniczący Samorządu Uczniowskiego w Zespole Szkół Ogólnokształcących, Józefów nad Wisłą) mówi, że nie zawsze było łatwo realizować wszystkie plany, ale zawsze starał się działać w zgodzie z tym, co uważa za ważne.

Pomagała Mu ciekawość, chęć uczenia się od innych oraz wsparcie nauczycieli i przyjaciół. - Punktem przełomowym było dla mnie objęcie funkcji przewodniczącego samorządu uczniowskiego. To moment, w którym poczułem, że mogę naprawdę wpływać na otocze-

nie, słuchać potrzeb innych i próbować je zmieniać - wyjaśnia. Pamięta np. akcję, podczas której razem z przyjaciółmi zorganizował w szkole spotkanie z Kingą Zawodnik. Wtedy poczuł, że Jego działania naprawdę mają znaczenie. - Wszyscy gratulowali mi inicjatywy, a ja poczułem, że choć trochę jestem ważny i mogę coś zmieniać. Ten moment utwierdził mnie w przekonaniu, że warto działać i angażować innych w pozytywne inicjatywy - wspomina. Największą energię dają Mu ludzie: zarówno przyjaciele, rówieśnicy, jak i nauczyciele czy mieszkańcy

gminy. Widząc, że Jego pomysły i inicjatywy angażują innych, sprawiają im radość lub ułatwiają coś w codziennym życiu, czuje ogromną motywację do działania. - Napędza mnie też chęć próbowania nowych rzeczy i uczenia się na własnych doświadczeniach. Nawet jeśli coś nie wyjdzie od razu, traktuję to jako lekcję i inspirację do kolejnych działań. Codziennie motywuje mnie też świadomość, że choć mam 15 lat, mogę wprowadzać realne zmiany w naszej szkole i gminie - wyjaśnia jeden z bohaterów naszej akcji Osobowość Roku 2025.

Mówi, że szczególnie ceni tych, którzy nie boją się odkrywać nowych obszarów twórczych

Aleksandra Oberda-Alimbajew (właścicielka studia wokalnego Sing It, wokalistka, muzyk, trener wokalny, Lublin) mówi, że od zawsze wiedziała, że Jej życie będzie związane z muzyką. Na Jej drodze pojawił się wyjątkowy człowiek - nauczyciel.

Uczęszczała do szkoły muzycznej, gdzie uczyła się gry na fortepianie i waltorni. To właśnie tam odkryła, jak bardzo muzyka jest Jej bliska. Jednocześnie czuła, że potrzebuje czegoś więcej - przestrzeni, w której mogłaby w pełni wyrazić siebie i przekazać innym

to, co w Niej najważniejsze: Jej historie, emocje i uczucia. - Wtedy na mojej drodze pojawił się wyjątkowy człowiek - mój nauczyciel śpiewu. To pod jego okiem stawiałam pierwsze kroki w zgłębianiu techniki wokalne i interpretacji utworów. Studia na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej na kierunku jazz i muzyka estradowa, a następnie studia magisterskie na Akademii Muzycznej w Katowicach na tym samym kierunku, były naturalną konsekwencją obranej przeze mnie drogi artystycznej - wspomina. Zaczęła pisać własne utwory: zarówno teksty, jak i muzykę. Dawało to

ogromne poczucie spełnienia i satysfakcji. Z czasem uświadomiła sobie, że gdyby nie spotkanie z Jej nauczycielem śpiewu, dziś prawdopodobnie nie zajmowałaby się tym, co kocha najbardziej. - To właśnie wtedy zrodziła się we mnie potrzeba, by stać się dla innych takim wsparciem, jakim on był dla mnie - osoba, która dzieli się pasją i pomaga dzieciom w realizacji ich marzeń - mówi. Już w pierwszych latach pracy pedagogicznej okazało się, że nie tylko dzieci, ale także osoby w różnym wieku pragną rozwijać swoje pasje, nie zawsze wyłącznie muzyczne.

Czytaj więcej o akcji na www.kurierlubelski.pl/osobowosc

pod PARAGRAFEM

W ŚRODKU

Uczta Baltazara, syna Nabuchodonozora, zamieniła się dlań w swoiste kolegium oskarżycielskie – str. 24

W 1906 r. stosunki polsko-ukraińskie w Skolem nabrały wręcz tragicznego wymiaru – str. 25

ZA TYDZIEŃ

Jak Polska Ludowa walczyła z bimbrownictwem

W Polsce bimbrownictwo pędziło się od stuleci. Dlaczego w czasach komuny, czasach wiecznego „niedoboru”, miałyby być inaczej?



KRÓTKO

W KSIĘGARNIACH

Trup na francuskiej prowincji

11 lutego wydawnictwo Mondo wypuści na rynek „Morderstwo w podróży” brytyjskiej pisarki Merryn Allingham. Fabuła idzie mniej więcej tak: właścicielka księgarni Flora Steele i przystojny pisarz Jack Carrington wyruszają na urokliwą francuską prowincję. Marzą o pachnących polach lawendy, winku i świeżo upieczonych croissantach. Dopiero po przyjeździe okazuje się, że najpierw muszą rozwiązać tajemnicę pewnego morderstwa. ls

W KINACH

Armagedon na wesoło

6 lutego w kinach pojawi się horrorowo-kryminalno-komedio-wo „Skażenie”, w reż. Jonny Campbell (Wielka Brytania, Francja i USA). Zaraźliwy i nieustannie mutujący mikroorganizm został zamrożony i zamknięty w ściśle strzeżonym laboratorium wojskowym wiele dekad temu. Jednak wraz ze zmianą klimatu rośnie temperatura pod ziemią, co powoduje ożywienie zapomnianego zagrożenia sprzed lat. Pojawia się strach. W rolach głównych Liam Neeson, Joe Kerry i Georgina Campbell. bb

ROZMOWY

Pamiętajcie o Margaret Millar

Za tydzień rocznica urodzin Margaret Ellis Millar (ur. 5 lutego 1915 r., zm. 26 marca 1994 r.) – amerykańskiej pisarki kryminałów pochodzenia kanadyjskiego. W latach 50. spod jej ręki wyszło kilka niezłych powieści (m.in. „Pięknym za nadobne” czy „Gładkie słówka”), ale jej przekleństwem był fakt, że jej mężem był Ross Macdonald, jeden z tytanów powieści noir. Wciąż zmagala się z podejrzeniami, że jej powieści są tak naprawdę jego autorstwa, a ona sama tylko je sygnuje. mg

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-historyczny, nr 191. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski.
Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

Józef Piłsudski, towarzysze z PPS i wielka gra wywiadów



Jokohama na początku XX wieku. Piłsudski i Filipowicz dotarli tam w lipcu 1904 roku, płynąc przez Londyn, Nowy Jork, Chicago i San Francisco. Z Jokohamy funkcjonariusz Kempeitai, japońskich tajnych służb, zabrał ich do Tokio

Wojciech Rodaczek
redakcja@polskatimes.pl

Józef Piłsudski nie bał się kontaktów z agentami Japonii i Austro-Węgier. Wróg jego wroga był przecież jego przyjacielem.

W nocy z 9 na 10 lipca 1904 roku parowiec „Coptic” stanął na redzie portu w Jokohamie. Na pokładzie statku znajdowali się dwaj prominentni działacze PPS: Józef Piłsudski i Tytus Filipowicz. Ostatnie tygodnie intensywnie przygotowywali się do rozmów z Japończykami. Zdawali sobie sprawę, że od ich

rezultatu zależały przyszłość ich ugrupowania i sprawy niepodległości Polski, o którą walczyli.

Polacy w Tokio

Następnego dnia funkcjonariusz Kempeitai, miejscowych tajnych służb, zabrał ich do Tokio. Zostali zakwaterowani w Seyoken Hotel, położonym dość daleko od hoteli najpopularniejszych wśród Europejczyków. Gospodarze mimochodem powiadomili Polaków, że w stolicy cesarstwa przebywa akurat ich rodak Roman Dmowski, lider Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Piłsudski i Filipo-

wicz postanowili więc się z nim spotkać.

Gdy przywódca narodowców zobaczył ich jadących w rikszach na chwilę skamieniał. Jednak potem odzyskał równowagę. Było „grzeczne”, „niemal czułe” powitanie. Nie można się dziwić nerwowej reakcji Dmowskiego. W końcu przejechał pół świata, by wytłumaczyć Japończykom, że jakakolwiek forma rewolucji na terenie zaboru rosyjskiego, którą chcieli zainicjować, mogłaby Polakom mocno zaszkodzić.

Widok Piłsudskiego, zawodowego rewolucjonisty i zwolennika aktywnej walki z Rosją,

kroczącego pewnym krokiem po tokijskiej ulicy, odczytał jako zwiastun fiaska swojej misji. I nie mylił się. Już od połowy czerwca żaden przedstawiciel rządu Japonii nie chciał się z nim spotkać.

Japończycy od lutego 1904 r. toczyli zwycięskie boje z armią carską na Dalekim Wschodzie. By ją jeszcze mocniej osłabić, chcieli wzniecić zamieszki, a mo-że nawet większe zbrojne powstanie w jej europejskiej domenie. W tym celu Kempeitai nawiązało kontakt z wieloma grupami rewolucyjnymi aktywnymi na tym terenie, w tym również z PPS.

Rozmowy o kasie

12 lipca rozpoczęła się seria spotkań Piłsudskiego i Filipowicza z gen. Atsushim Muratą. Rozmowy toczyły się, o ironio, po rosyjsku, ale z pomocą tłumacza, który miał rozwiązywać wszelkie językowe nieporozumienia. Lider PPS próbował przekonać Japończyka o niezwykłej sile i dużym wywiadowczo-dywersyjnym potencjale swoich ludzi, myśląc, że uda mu się uzyskać jakiegokolwiek poparcie dla sprawy niepodległej RP.

Ciąg dalszy na str. 24

Mariusz
Grabowski

NAUKI Z UCZTY U BALTAZARA

Pyszny, arogancki i jak się okazało także niezbyt roztropny buc, czyli król Baltazar, syn Nabuchodonozora oznaczonego numerem II, pojawia się w piątym rozdziale biblijnej Księgi Daniela (Dn 5;1-30) jako ostatni władca babiloński przed podbojem perskim. Po co Księga przywołuje jego postać? Aby nam, małczkim, przypomnieć, że pycha, największy z grzechów, zawsze prowadzi do złego.

Wino i nałożnice

Według przekazu biblijnego Baltazar miał urządzić w swym pałacu wystawną ucztę, w trakcie której nakazał przynieść złote i srebrne naczynia zrabowane przez Nabuchodonozora ze świątyni jerozolimskiej (początek tzw. niewoli babilońskiej Żydów). Były tańce i swawole, grała muzyka, tysiące ludzi obżerało się na potęgę. Obecne były też nałożnice i małżonki Baltazara.

I wówczas, wobec tego ewidentnego aktu świętokradztwa, na ścianie pojawiły się tajemnicze słowa: „mane, tekell, fares”, co znaczyło: „policzono, zważono, rozdzielono”. Baltazar bardzo się wystraszył. Zbladł, „kolana jego uderzały jedno o drugie”. Jego odwaga i buta ustąpiła miejsce śmiertelnemu przerażeniu.

Królowa, jak widać znacznie przytomniejsza, poleciła wezwąć Daniela, który odczytał zapisane słowa jako zapowiedź upadku jego królestwa. Niebawem Persowie i Medowie na czele z królem Dariuszem oblegli Babilon, a po jego upadku Baltazar skończył na sznurze.

Trochę pouczujmy

Biblijny opis, w kwestii nauki moralnej, jest aż nadto klarowny: potępia brak umiaru, obżarstwo i pijaństwo połączone z kultem bożków. Ale już do biesiadowania trudno się przyczepić: wyraża ono bliskość, wspólnotę, wzbudza atmosferę zaufania, intymności, miłości. Co więcej, biesiadowanie jest antycypacją uczy wiecznej - taki wymiar ma również liturgia.

W żydowskich rytuałach świątyni jerozolimskiej znajdowała się nawet tzw. ofiara biesiadna (zwana też „ofiara pokoju”), która poza wymiarem kultu miała charakter wspólnotowego posiłku złożonego z mięsa ofiary (por. Kpł 7, 11-21).

Z kolei dla chrześcijan podobne znaczenie ma Eucharystia. Pierwsi chrześcijanie spotykali się w domach, aby wspólnie w Dniu Słońca „łamać chleb”, czyli przeżywać na nowo misterium śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Spotkania kończyły się ucztami miłości, zwanymi „agape”, podczas których przyjmowali „posiłek z radością i prostotą serca” (Dz 2, 46).



„Uczta u władcy Babilonii Baltazara, na podstawie Księgi Daniela” – obraz Rembrandta namalowany około 1635 roku



„**PODWÓJNY AGENT**” – TAK W II RP NAZYWALI „ZIUKA” JEGO PRZECIWNICY

Józef Piłsudski, towarzysze z PPS i wielka gra wywiadów

Ciąg dalszy ze str. 23

Proponował nawet utworzenie legionu polskiego, który walczyłby u boku żołnierzy japońskich. Bez efektu. „Cenią nas bez porównania wyżej niż Dmowski - to nie ulega wątpliwości” - podsumował później Filipowicz. „Nie dowierzają jednak roli, jaką Polska może odegrać w wewnętrznej polityce Rosji i wskutek tego będą się starać zbyć pominięciem naszych politycznych żądań. Są bardzo nieszczery. Kręcą w drobiazgach, nadrabiając komplementami i ciągłym śmiechem - wesoły narodek”.

21 lipca rozmowy dochodzą do punktu kulminacyjnego. Murata zapewnił, że Kempeitai udzieli PPS pomocy finansowej i dostarczy broń. Emisariusze PPS zapewnili ich, że w zamian

będą im przysyłać informacje wywiadowcze. Piłsudski przystał na ofertę Azjatów, chociaż oczekiwał o wiele więcej. Rząd z Tokio nie był zupełnie zainteresowany wskrzeszaniem idei niepodległej Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej. Nie dość, że nie mógł udzielić Polakom jakiegokolwiek realnej pomocy wojskowej, to jeszcze było pewne, że popsuje sobie w ten sposób relacje z Niemcami.

Japonia w natarciu

Japońska wyprawa polskich działaczy niepodległościowych była pokłosiem trwającego od kilku miesięcy zbliżenia PPS i Kempeitai. Sytuacja międzynarodowa sprawiła, że ten tak pozornie egzotyczny sojusz był całkiem naturalny. Siła i imperialne ambicje Tokio rosły od rewolucji modernizacyjnej epoki Meiji zapoczątkowanej w 1868 r.

Japończycy weszli do ery przemysłowej wprost ze średniowiecza. Dzięki swojej niesamowitej pracowitości i determinacji w parę dziesięcioleci nadrobili swoje technologiczne zaległości. Szczególny nacisk położyli na rozwój armii i floty.

Już pod koniec XIX w. poczuli się na tyle pewnie, by rozpocząć ekspansję na kontynent. Pokonali Chiny i zajęli Półwysep Koreański. By ugruntować zdobycze w regionie, musieli się jeszcze rozprawić z Rosją, która umacniała swoją obecność wojskową w Mandżurii. W sztabie generalnym w Tokio pojawiła się idea, by atak konwencjonalny wspomóc akcją wywiadowczą. W tym celu emisariusz Kempeitai na Starym Kontynencie, płk Motojiro Akashi, poszukiwał kontaktu z wszelkimi konspiracyjnymi grupami rewolucyjnymi działającymi na terenie Rosji.

PPS szuka zasobnego sojusznika

W tym samym czasie PPS tkwiła w marazmie. Piłsudski uważał, że wpływy partii u progu XX w. znacznie zmalały. „Rozbudzenie życia społecznego, ogrom sił różnych, które skądś wyrosły i zażądały udziału w życiu codziennym, zastał PPS zupełnie nieprzygotowaną” - diagnozował przyszły naczelnik państwa.

Kasa partii świeciła pustkami. Działaczom centrali partii nie wystarczało na zwykłe codzienne potrzeby. Przyszły prezydent II RP, a wtedy aktywista PPS Stanisław Wojciechowski wspominał, że często nie mógł pozwolić sobie na posiłek bardziej wyszukany niż chleb z cebulą. Samego „Ziuka” nie stać było na zimowe palto, a nawet zdarzało mu się chodzić w pożyczonych ubraniach. Nerwowo



W czasie Wielkiej Wojny Piłsudski często spotykał się z oficerami HK-Stelle. Otrzymywał pieniądze i protekcję polityczną

rozglądano się za jakimś zasobnym sojusznikiem.

Właśnie wtedy, w lutym 1904 roku, w Mandżurii rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska. Ścisłe kierownictwo PPS szybko powiązało fakty. Postanowiono, że zaofiarują Azjatowi swoje usługi dywersyjno-rewolucyjne na terenie imperium. Odpowiedzialnym za rozmowy z Japończykami został Witold Jodko-Narkiewicz, wtedy najbliższy współpracownik Piłsudskiego. Tak rozpoczęła się operacja, której nadano wewnętrzny kryptonim „Wieczór”.

Konspiracja i broń

Kontakt z rezydentami Kempeitai nawiązano w Londynie i Paryżu. Pierwsze rozmowy prowadzili emisariusze Piłsudskiego. Właściwie to oni ustalili z azjatyckimi partnerami ogólne ramy współpracy. Lider PPS, w czasie zrelacjonowanej powyżej wyprawy do Tokio, właściwie tylko je potwierdził. I wtedy dopiero współpraca ruszyła pełną parą.

„Akcja wieczorowa”, w obawie przed wszędobylską ochroną, była utrzymana w ścisłej konspiracji. Wiedziały o niej tylko cztery osoby z kierownictwa PPS. Zbiórcze raporty wywiadowcze dla Japończyków, tworzone na bazie meldunków działaczy partii z Rosji, pisał Bolesław Jędrzejowski. Potem je szyfrowano według autorskiego systemu Jodko-Narkiewicza i wysyłano do londyńskiej rezydentury

Kempeitai. W zamian za to Polacy otrzymywali w Anglii pieniądze. Na miejscu kupowali za nie „cukierki”, bo tak w korespondencji nazywali broń - przeważnie mauzery i rewolwery typu Savage. Następnie przekazywali ją w ręce Japończyków, którzy przetrucali trefny towar do Hamburga. Wtedy znów przejmowali go działacze PPS. Przewozili militaria w pobliże granicy Prus z Galicją.

Z początku Japończycy nie byli zbyt hojni. Ich sceptycyzm zniknął dopiero po zamieszkach na placu Grzybowski w Warszawie 13 listopada 1904 r. Wtedy właśnie duża grupa bojowców stawiała zbrojny opór kozakom. Czytając gazety, w których opisywano wydarzenia w Rosji, płk Akashi był zachwycony i obficie sypaną groszem.

Koniec przyjaźni

Revolucja uderzyła w carat w krytycznym momencie - wojska rosyjskie coraz lepiej poczyniły sobie w Mandżurii. Rozruchy w centrum przemysłowym imperium zatrzymały ich dalsze postępy. Wobec niepewnej sytuacji Moskwa była zmuszona zawrzeć pokój z Japończykami. 5 września 1905 roku w amerykańskim Portsmouth podpisano traktat kończący wojnę.

Tokio triumfowało, a Akashi od razu przystąpił do likwidacji tajnej misji dywersyjnej w Europie, przy czym zakończył również współpracę z PPS. Japończycy traktowali Polaków jak na-

jemników, którzy wykonali swoje zadanie. Uznali, że nie mają interesu w kontynuowaniu tej relacji.

Organizacja Piłsudskiego znacznie skorzystała na współpracy z orientalnym wywiadem. Służby wypłaciły im łącznie ponad 33 tys. funtów szterlingów, czyli obecną równowartość kilkunastu milionów dolarów.

Kontakt z HK-Stelle

Piłsudski szybko zrozumiał, że dalsze niepodległościowe dążenia mógł zrealizować tylko u boku przeciwników Rosji: Niemiec i Austro-Węgier. Postanowił więc przestawić się z pracy partyjnej na ściśle wojskową. Chciał doprowadzić do powstania polskiej siły militarnej. Aparat PPS od razu zaczął badać grunt w tym kierunku. Już w 1906 roku Polacy spotkali się z przedstawicielami austriackich służb wywiadu (HK-Stelle - Hauptkundschaftsstelle), proponując im swoje usługi wywiadowcze i dywersyjne na terenie Rosji w zamian z pomocą w zdo-

galnych, jawnych organizacjach strzeleckich: Związku Strzeleckiego we Lwowie i Strzelca w Krakowie - w miejsce konspiracyjnego Związku Walki Czynnej. Ponadto wpłynęli na sztab generalny w Wiedniu, który zobowiązał się do obrony działaczy PPS przed ewentualnymi represjami.

Zkolei PPS, przez swoją siatkę w Rosji, dostarczała wywiadom państw centralnych (austriackie służby ściśle współpracowały z niemieckimi) kluczowe dane wywiadowcze. Dotyczyły one głównie dyslokacji carskich wojsk, ich liczebności oraz morale. Poza tym konspiratorzy PPS wykonywali niewielkie akcje sabotażowe. Piłsudskiemu zdarzało się, że niektóre ataki pozorował i rozdmuchiwał ich znaczenie, byle tylko podbić cenę przetargową za polską pomoc.

U progu wojny

Piłsudski szybko zyskiwał zaufanie HK-Stelle i sztabu generalnego. Już w 1910 r. pokazali mu zdobyte przez swoich agentów

OFICEREM PROWADZĄCYM PIŁSUDSKIEGO W CK ARMII BYŁ KPT JÓZEF ARTUR RYBAK (1882- -1953). ICH RELACJE PO WIELKIEJ WOJNIE BYŁY POPRAWNE

bywaniu broni i tolerowanie ich konspiracyjnej działalności w Galicji.

Przełom nastąpił po głośnej akcji PPS pod Bezdanami. Zuchwały napad zwrócił uwagę mjr. Maximiliana Rongego, szefa sekcji wywiadu HK-Stelle, który był wielkim orędownikiem wspierania ruchów odśrodkowych w Rosji. Znów odbyła się seria spotkań Austriaków z przedstawicielami partii. Kluczowe rozmowy prowadził osobiście Ronge z Piłsudskim w grudniu 1908 r. Prawdopodobnie wtedy zawarli nieformalną umowę. Według niej Polacy mieli utworzyć na terenie Rosji sieć wywiadowczo-dywersyjną. W zmian Austriacy zobowiązali się do tolerowania ich działalności niepodległościowej i organizacji paramilitarnych. Biuro Ewidencyjne nadało tej operacji kryptonim „R”.

Parasol wywiadu

Współpraca, w obawie przed ochroną i zdracjami we własnych szeregach, była ściśle zakonspirowana. Ze strony HK-Stelle wiedziały o niej, poza Rongem, dwie osoby - kapitanowie Gustaw Iszkowski i Józef Rybak, odpowiedzialni za bezpośrednie kontakty z „R”. Wśród Polaków, poza Piłsudskim, do tajemnicy dopuszczani byli Walery Sławek i Witold Jodko-Narkiewicz.

Oficerowie HK-Stelle rozłożyli nad Piłsudskim i ruchem niepodległościowym parasol. To oni umożliwili mu stworzenie le-

rosyjskie plany obronne na wypadek wojny z Niemcami i Austro-Węgrami. Co więcej, wojskowi z Wiednia na stałe wpisali użycie jego stale rozrastających się drużyn strzeleckich w plany wojenne. I tu zaczynały się różnice.

HK-Stelle chciało wykorzystać oddziały strzeleckie tylko jako wywiadowczo-dywersyjną awangardę wojsk niemieckich i austro-węgierskich wkraczających do Królestwa Polskiego. Piłsudski miał nadzieję, że wkraczające do Kongresówki kadrowe oddziały polskie, jeśli nie wywołają fali wystąpień antrosyjskich, zostaną przynajmniej zasilone przez ochotników, stworzą liczącą się siłę. A to uważał za pierwszy krok na drodze do uzyskania wymarzonej niepodległości.

6 sierpnia 1914 r. strzelecka Pierwsza Kompania Kadrowa wyruszyła z Krakowa według marszruty nakreślonej przez austriacki wywiad. I nie szła nią zbyt długo. W ciągu miesiąca - wbrew ustaleniom - skręciła w stronę niepodległości. Powstały Legiony i pierwsze polskie komitety narodowe.

Do końca życia Józef Piłsudski milczał na temat swojej i towarzyszy współpracy z wywiadami Japonii i państw centralnych. Zdecydowały zapewne kalkulacja i doraźne potrzeby polityczne. Ujawnienie prawdy o dawnych tajnych porozumieniach mogło uderzyć w kruche fundamenty II RP.

KARTKA Z KALENDARZA/PITAWAL PRASOWY II RP



Wydawcą „Ojczyzny” było Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, utworzone w 1897 roku

O polsko-ukraińskich relacjach z tygodnika „Ojczyzna”

W piśmie tygodniowym „Ojczyzna” („Pismo z obrazkami dla wszystkich”) na dzień 1 lipca 1906 r., w dziale „Sprawy polskie”, znalazł się elektryzujący tytułem tekst „Morderstwo polityczne”. Redaktorem wydania był Piotr Panek (1869-1960), zaś sam tygodnik ukazał się jednocześnie we Lwowie i w Krakowie. Występujące w tekście miasto Skole znajduje się w Ukrainie - obecnie w rejonie stryjskim w obwodzie lwowskim.

„Sprawy polskie.

W zaborze austriackim.

Morderstwo polityczne.

W niedzielę, dnia 24. b. m. odbył się w Skolem zlot okrogowy sokolstwa polskiego z okazji 25-letniej rocznicy istnienia miejscowego gniazda w Skolem. Ażeby uczcić należycie dzień uroczysty i okazać, jak bardzo rozwój tamtejszego gniazda leży Sokołowi-Macierzy na sercu, wybrało się do Skolego bardzo wielu poważanych druhów ze wszystkich gniazd lwowskich. Sokoli skolscy wybudowali dla uczczenia gości wspianą bramę tryumfalną, a na boisku wzniesli siedzenia dla widzów, zaopatrzone w daszki na wypadek niepogody.

Ukończywszy robotę przygotowawczą w sobotę wieczorem, zamówili kilku strużów nocnych, aby pilnowali przez noc bramy i urządzeń na boisku. Przewidywano bowiem napad ze strony członków ruskiego towarzystwa »Sicz«, którzy w pobliżu zebrali się na naradę. Obawy okazały się słuszne, bo w nocy między pierwszą a czwartą godziną siczownicy zburzyli doszczętnie wszystkie urządzenia na boisku, a bramę tryumfalną podcięli przy samej ziemi w ten sposób, że podczas pochodu musiałyby się zaważyć w zwarty tłum i wielu ludzi przyprawić o kalectwo lub śmierć.

Ale nie koniec, bo najważniejszym czynem siczowników owej nocy było morderstwo Michała Czajkowskiego. Rusina, który pilnował bramy, zabił na śmierć, a trupa wrzucił do głębokiej studni. Na jego zwłokach znaleziono 9 ran śmiertelnych w głowie i wielką ilość na ciele.

Gdy nazajutrz rano rozeszła się wieść o tym ohydny morderstwie, zapanowało oburzenie w całej okolicy na sprawców mordu. Żandarmerya poczęła ich szukać i jeszcze tego samego dnia znalazła wielu. Smutno i pod głębokim przynębieniem odbyła się uroczystość sokola, w przyszłości będzie ona miała znaczenie większe niż inne zloty.

Czyn ruskich siczowców aż nadto dowiódł, jak bardzo społeczeństwu polskiemu w tamtych stronach skupić należy siły. Dziwna tylko rzecz, że ruskie towarzystwo »Sicz« może bezkarnie urządzać takie morderstwa. Ludzie bowiem, którzy dokonali mordu, są niewinni, oni nie uczynili tego z własnego popędu, tylko podmówieni przez ruską inteligencję, piastującą różne urzędy w »Siczce».

Złapani przez żandarmeryę mordercy zeznają, że podmówili ich do tego »panowie».

opr. żar

Długo ukrywał swoją drugą, mroczną naturę, a ludzie dawali się nabierać. Kiedy poznali o nim prawdę, nie mogli w nią uwierzyć. Może to jakaś kosmiczna pomyłka policji lub sądu - zastanawiali się. Fakty jasno jednak dowodziły, że nie doszło do żadnej pomyłki.

Wpadnijcie na weekend

Tadeusz P. prowadził z żoną Wandą gospodarstwo rolne w podzamojskiej wsi Łabuńki. Byli nieźle sytuowani, utrzymywali przyjacielskie kontakty z sąsiadami i krewnymi; zwłaszcza z siostrą Wandę, która mieszkała w Zamościu i pracowała w szpitalu. Tadeusz bardzo lubił córki swojej szwagierki, często zapraszał je na wieś do swojej rezydencji - jak nazywał położone w uroczym miejscu, z dala od głównej drogi, gospodarstwo.

16-letnia Iga i 13-letnia Dominika były tu traktowane jak miejscowe. Przyjaźniły się z ciotecznym rodzeństwem i gronem ich koleżanek i kolegów. Czasami opiekowały się najmłodszym synem wujostwa, trzyletnim Wojtkiem.

Na początku października 1994 roku (dokładna data nie została ustalona) Wanda P. zaprosiła siostrę z jej córkami na weekend do Łabuńki. Lucyna G. odparła, że w sobotę ma dyżur w pracy, ale córki mogą przyjechać bez niej. Dziewczęta wybrały się na wieś autobusem późnym piątkowym popołudniem. Była z nimi jeszcze Paulina, szkolna koleżanka Igi. Dotarły do wujostwa w porze kolacji. Przy suto zastawionym stole, oprócz gospodarzy, siedziało dwóch kolegów Tadeusza P. Było sporo alkoholu.

Zrzucił skórę dobrodusznego wujka

Kolacja przeciągnęła się do nocy. Dzieci Wandy i Tadeusza poszły spać. Iga, Dominika i Paulina, jako nieco starsze, zostały przy stole. W pewnym momencie zabrakło alkoholu. Do sklepu poszła żona gospodarza. Ponieważ od ich domu był to kawałek drogi, poprosiła Igę i Dominikę, żeby jej towarzyszyły. Ochoty na krótki spacer nabrał też jeden z kolegów Tadeusza.

W mieszkaniu zostali gospodarz, drugi jego kumpel, Maciej M., który podsypiał za stołem oraz Paulina. Tadeusz P. usiadł obok niej. Zaczął opowiadać kolejny dowcip, dziewczyna pękała ze śmiechu. Naraz poczuła, że mężczyzna wsadza jej rękę do majtek.

Odepchnęła go, zaś Tadeusz P. w jednej chwili zrzucił skórę dobrodusznego wesołka. Rysy mu stwardniały a w oczach pojawił się groźny błysk. Warknął, żeby mu się nie sprzeciwiała. Wyciągnął

DUSZA CZŁOWIEK. GWAŁTY I MORDERSTWO

Uwielbiał błyszczeć na uroczystościach rodzinnych. Znał mnóstwo dowcipów, które z talentem potrafił opowiadać. Ale jak trzeba, był poważny i konkretny. Ot, dusza człowiek, do tańca i do różańca

Mariusz Gadomski

z kieszeni nóż, przystawił ostrze do szyi przerażonej dziewczyny i kazał jej się rozbić. Ręce jej się trzęsły i nie mogła rozpiąć bluzki. Mężczyzna szarpnął tkaninę tak energicznie, że oberwał guziki. Rzucił się na nią. Brutalnie ją zgwałcił, zaskanając dłonią jej usta, żeby nie krzyczała.

Po upływie pół godziny, Wanda P. wróciła ze sklepu z siostrzenicami i kolegą męża. Nastrój przy stole był zupełnie inny niż przed ich wyjściem po alkohol. Paulina siedziała zapłakana w podartej bluzce. Tadeusz w milczeniu popijał ze szklanki, nie patrząc nikomu w oczy. Iga domyśliła się, że zaszło coś złego i domagała się od wujka wyjaśnień. Nie udzielił ich.

Młoda kuzynka podejrzewała, że Tadeusz P. dobierał się do jej koleżanki, bo już przy kolacji jakoś dziwnie na nią patrzył, niby przypadkiem dotykał jej piersi. Zażądała więc, żeby ciotka odwiozła je zaraz do Zamościa. Również Wanda domyśliła się wszystkiego. Wstała od stołu, żeby pójść do garażu po samochód, ale mąż ją zatrzymał. Nic do niej nie powiedział, a jedynie położył rękę na ramieniu żony. Najwyraźniej dobrze wiedziała co oznacza taki gest.

- Odwiozę was... Ale dziś już za późno, poza tym piłam wódkę. Jutro pojedziemy - bąknęła ciotka. W jej głosie można było wyczuć strach. Spojrzała niepewnie na Tadeusza. Mężczyzna rozpoznał się. Kazał kumpłowi obudzić pijanego Macieja M. i zabrać go do domu. Żonie polecił iść spać do pokoju dzieci. Nie zaprotestowała. Został sam z trzema nastolatkami. Zamknął drzwi na klucz. Zmusił dziewczęta, żeby się rozebrały i nakazał, żeby tańczyły nago wokół stołu. Bił je, dotykał w intymne miejsca, upokarzał i poniewierał. Naraz do pokoju zastukała jego żona.

- Puść dziewczyny, albo nigdy nie zobaczysz własnych



Tadeusz P. dogonił Elżbietę nieopodal przystanku autobusowego. Gdy zaczęła krzyczeć, rozwścieczony zaczął ją dusić

dzieci. Ucieknę z nimi - powiedziała.

Przestraszył się groźby. Ale zgodził się wypuścić tylko Igę i Dominikę. Ciotka szybko zabrała siostrzenice do samochodu i odwiozła je do domu. Siostrze wyjaśniła, że Tadek upił się i kazał im się wynosić. Nie powiedziała co się stało na-

prawdę i zabroniła dziewczętom o tym mówić.

- Chodzi mi tylko i wyłącznie o wasze bezpieczeństwo. Jakby się dowiedział, że naskarzyliście na niego, mógłby się mścić na was, i na waszej mamie - wyjaśniła.

W tym czasie jej mąż przez kilka godzin brutalnie gwałcił

Kurier Lubelski
Piątek-niedziela, 30.01-1.02.2026

Paulinę. Gdy ją wypuszczał wczesnym rankiem, zagroził, że jak go wyda, to zabije ją i jej rodziców. Przerażona dziewczyna milczała przez dwa miesiące. Potem opowiedziała o wszystkim rodzicom a ci powiadomili policję.

Nieoczekiwanie wyszedł na wolność

Jej decyzja ośmieliła Igę i Dominikę. W prokuraturze powiedziały całą prawdę o koszmarnym październikowym weekendzie u wujostwa. Tadeusz P. został aresztowany. Ciężko nad nim zarzuty wielokrotnego zgwałcenia i molestowania seksualnego, m.in. nieletniej. Groziła mu długa odsiadka.

Sprawa była skomplikowana, śledztwo przeciągało się. Po kilkunastu miesiącach pobytu w areszcie Tadeusz P. nieoczekiwanie wyszedł na wolność. Zamieniono mu areszt na wolnościowy środek zapobiegawczy, co było spowodowane jego sytuacją rodzinną. Gdy przebywał za kratami, jego żona czasowo pomieszkiwała w Zamościu w mieszkaniu, które kupili z myślą o dzieciach. Pewnego dnia, jadąc samochodem uległa ciężkiemu wypadkowi. Miała problemy z poruszaniem się. Nie mogła w tym stanie samodzielnie sprawować opieki nad dziećmi. Z siostrą, która oskarżała ją, że jest współwinna krzywdy jej córek, przestała utrzymywać kontakty. W tej sytuacji zamojski sąd zgodził się zamienić jej mężowi areszt na dozór policyjny.

Dopóki siedział, Wanda korzystała z pomocy mieszkającego od niedawna w ich sąsiedztwie małżeństwa. Janusz i Elżbieta A. nie mieli pojęcia, gdzie tak naprawdę przebywał mąż kobiety, która poruszała się o kulach. Nie powiedziała im prawdy, mówiła, że Tadeusz wyjechał do Niemiec do pracy. Kiedy wrócił do domu, powiedziała, że ma kilkutygodniowy urlop. Oba małżeństwa zaprzyjaźniły się i zaczęły u siebie bywać. Spotkania często zakrapiano alkoholem.

Uciekała nago po śniegu

12 stycznia 1996 r. Tadeusz P. w imieniu swoim i żony zaprosił sąsiadów na biesiadę. Ale nie do zamojskiego mieszkania, tylko do Łabuńki, gdzie mieli prawdziwy dom. Janusz i Elżbieta byli zachwyceni ich rezydencją.

Podchmielona Elżbieta A. w pewnym momencie posprzeczała się z mężem. Powiedziała, że podsłuchuje jej rozmowę z Tadeuszem. Janusz obraził się, oświadczył, że wraca do domu. Wstał od stołu i wyszedł, żeby zdążyć na ostatni autobus do Zamościa.

Nazajutrz odwiedziła go policja i przekazali koszmarną wiadomość - jego żona została w nocy zamordowana. Musiał

pojechać z nimi by zidentyfikować zwłoki.

Przyczyną zgonu Elżbiety A. było uduszenie. Przed śmiercią kobieta została zgwałcona. Na ciele ujawniono ślady pobicia i gryzienia. Zwłoki zostały znalezione w Łabuńkach, w domu małżonków Tadeusza i Wandy P. Zarzut zabójstwa prokuratura postawiła Tadeuszowi P.

Ustalono przebieg tragedii. Po tym jak Janusz A. wyszedł z imprezy, Tadeusz na oczach swojej żony, zaczął przystawiać się do Elżbiety. Kobieta, przekonana początkowo, że sympatyczny sąsiad żartuje, nawet trochę go prowokowała. Nie miała pojęcia, że zaraz zacznie się piekło.

Mężczyzna był był coraz bardziej natarczywy. Zmusił ją żeby wyszła z nim do innego pomieszczenia. Rzucił Elżbietę na łóżko i brutalnie zgwałcił. Domagał się powtórkę, gryząc kobietę w piersi.

Ponieważ nie zamknął drzwi na klucz, wykorzystala moment jego nieuwagi i uciekła. Biegła nago po śniegu, wołając ratunku, ale była noc i nikt jej nie udzielił pomocy. Tadeusz dogonił ją nieopodal przystanku autobusowego, do którego się kierowała. Uderzył ją w twarz. Gdy zaczęła krzyczeć, rozwścieczony zaczął ją dusić. Po upływie pół minuty kobieta przestała oddychać.

Przeciągnął zwłoki do domu. Zostawił je w niewykończonym pomieszczeniu na betonowej podłodze. Wrócił do mieszkania i zamknął się w pokoju. Wanda, widząc krew na jego ubraniu domyśliła się, że zaszło coś złego. Zeznała później w śledztwie, że nie wezwała policji, gdyż bała się, że mąż zabije również ją. Od lat się nad nią znęcał: bił, groził śmiercią, wyganiał z domu.

Policję powiadomił znajomy, który przyszedł do Tadeusza P. na prośbę jego ojca, który nie mógł skontaktować się z synem telefonicznie. Szukając go po całym mieszkaniu, natknął się na zwłoki kobiety.

Tadeusz P. odpowiedział przed sądem za gwałty i zabójstwo. Nie przyznał się winy. Twierdził, że Elżbietę A. udusił ktoś inny. Wybiegła z domu naga i pijana, Stanowiła łatwy cel dla mordercy. Z kolei dziewczęta pomawiają go o gwałt z zemsty, bo kiedyś nie zgodził się, żeby przyjechały w odwiedziny - utrzymywał przed sądem.

Wyjaśnienia oskarżonego zostały uznane za niewiarygodne i pozbawione sensu. To niemożliwe, żeby wszyscy sprzyśleli się przeciwko niemu. 30 czerwca 1997 r. zapadł wyrok. Sąd Okręgowy w Zamościu uznał Tadeusza P. winnym zarzucanych czynów i skazał go na karę łączną 25 lat pozbawienia wolności.

Zmieniono niektóre personalia

REKLAMA

0011470502

BURMISTRZ NAŁĘCZOWA
ul. Lipowa 3, 24-150 Nałęczów
PP.6720.9.2024-26

Nałęczów, dnia 30 stycznia 2026 r.

OGŁOSZENIE BURMISTRZA NAŁĘCZOWA o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu Planu Ogólnego Gminy Nałęczów

Na podstawie art. 13i ust. 3 pkt 8 w związku z art. 8h ust. 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 roku o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (Dz.U. z 2024 r., poz. 1130 z późn. zm.), art. 39, art. 46 ust. 1 pkt 1, art. 54 ust. 2, 3 ustawy z dnia 3 października 2008 roku o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (Dz.U. z 2024 r., poz. 1112 z późn. zm.) zawiadamiam o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu planu ogólnego gminy Nałęczów, sporządzonego na podstawie Uchwały Nr LXXVIII/463/24 Rady Miejskiej w Nałęczowie z dnia 28 lutego 2024 roku w sprawie przystąpienia do sporządzenia planu ogólnego Gminy Nałęczów.

Projekt planu ogólnego wraz z prognozą oddziaływania na środowisko będzie dostępny do wglądu **od dnia 30 stycznia 2026 r. do dnia 28 lutego 2026 r.** w Urzędzie Miejskim w Nałęczowie, ul. Lipowa 3, 24-150 Nałęczów, pok. nr 21, w godzinach pracy Urzędu oraz zamieszczony w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Nałęczowie w zakładce *Zagospodarowanie przestrzenne* → *Rejestr Urbanistyczny*.

Konsultacje społeczne obejmują następujące formy:

- Zbierania uwag** do projektu planu ogólnego oraz prognozy oddziaływania na środowisko w terminie **od dnia 30 stycznia 2026 roku do dnia 28 lutego 2026 roku**.
- Spotkania otwartego poprzedzonego prezentacją projektu planu ogólnego**, które odbędą się dnia **9 lutego 2026 r. o godzinie 17:00** w Hali Sportowej przy Szkole Podstawowej im. Stefana Żeromskiego w Nałęczowie, ul. Spółdzielcza 17.
- Dyżuru projektanta dnia 19 lutego 2026 roku w godzinach 16:00 – 18:30** w siedzibie Urzędu Miejskiego w Nałęczowie, ul. Lipowa 3, pok. nr 16 – sala konferencyjna.

Zainteresowani mogą składać uwagi do wyżej wymienionego projektu planu ogólnego. Uwagi należy składać za pomocą „Formularza pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego”, dostępnego w Urzędzie Miejskim w Nałęczowie oraz w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Nałęczowie w zakładce *Zagospodarowanie przestrzenne* → *Rejestr Urbanistyczny*.

Uwagi można składać w formie:

- papierowej – osobiście w Urzędzie Miejskim w Nałęczowie lub listownie na adres Urząd Miejski w Nałęczowie, ul. Lipowa 3, 24-150 Nałęczów,
- elektronicznej, w formie dokumentu elektronicznego podpisanego kwalifikowanym certyfikatem lub profilem zaufanym, za pomocą środków komunikacji elektronicznej, w szczególności poczty elektronicznej um@naleczow.pl lub na adres do e-doręczeń: AE:PL-19532-26374-CUBFV-19

Składający uwagę podaje swoje imię i nazwisko albo nazwę oraz adres zamieszkania albo siedziby oraz adres poczty elektronicznej, o ile taki posiada, a także wskazuje, czy jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym nieruchomości objętej uwagą.

Projekt planu ogólnego można przeglądać przy użyciu dedykowanego oprogramowania QGIS lub przy wykorzystaniu przeglądarki danych planistycznych, udostępnionej przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii pod adresem: https://aplikacje.gov.pl/app/gov_xml_validator/.

BURMISTRZ
Wiesław Pardyka

OBOWIĄZEK INFORMACYJNY

(obowiązek inf. wymaga każdorazowego dostosowania pod konkretny cel przetwarzania danych)

Administratorem danych osobowych jest Burmistrz Nałęczowa, ul. Lipowa 3, 24-150 Nałęczów. Kontakt do Inspektora Ochrony Danych: ido@naleczow.pl. Dane przetwarzane są w celu przeprowadzenia konsultacji społecznych dot. projektu planu ogólnego gminy oraz przyjmowania i rozpatrywania uwag lub wniosków - na podstawie art. 6 ust. 1 lit. c i e RODO w zw. z przepisami ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (m.in. art. 13i, art. 8h). Odbiorcami danych mogą być podmioty obsługujące proces, operator pocztowy oraz dostawcy usług IT. Dane będą przechowywane zgodnie z przepisami archiwalnymi. Przysługuje prawo dostępu do danych, sprostowania, ograniczenia przetwarzania, sprzeciwu (w zakresie przewidzianym prawem) oraz skargi do Prezesa UODO. Pełna klauzula informacyjna dostępna w BIP Urzędu Miejskiego w Nałęczowie <https://um.naleczow.bip.lubelskie.pl/index.php?id=648>

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852
Przez internet: www.kurierlubelski.pl e-mail: reklama@kurierlubelski.pl
W Biurze Reklamy:

LUBLIN
Biuro Ogłoszeń
Krakowskie Przedmieście 10
tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

LUBLIN
Biuro Reklamy
Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3
tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

Handlowe

AGD

ZABYTKOWA krajalnica do mięsa
KUPIE tel.576-948-27

Praca

ZATRUDNIĘ

SZUKAM kierowcy kat. B., zbiórka odzieży używanej, ok. Stuttgart. Zapewniam zakwaterowanie. Praca co drugi miesiąc na zmianę. Wynagrodzenie 2200 euro na rękę. Możliwość pracy po godzinach. Niemcy, tel. 0049 1778306707

Zdrowie

INNE

PENSJONAT SANATO BUSKO-ZDRÓJ-FERIE ZIMOWE POBYTY LECZNICZE I WYPOCZYNKOWE tel: 41 378 19 48/51, www.sanato.com.pl
SPYTAJ O PROMOCJĘ

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

ELEKTRYKA-TANIO-TEL.-693-051-624

Festbud Krystian Papis
Od Fundamentu po Dach
504-195-361.

Konstrukcje Drewniane. Domki. Wiaty. Altany. Zadaszenia tarasów, tel. 504-195-361.

MONTAŻ karniszy, suszarek, żyrandoli, szafek, mebli, zamków, ścianki działowe, sufity podwieszane, malowanie, hydraulika, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

MYCIE, malowanie dachów, elewacji, szkła, kostki brukowej itp. odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu, 514-299-106

OKNA, konserwacja, regulacja, uszczelnianie. Balkony, tarasy - sufity, ściany, balustrada, terakota, 601-351-338

Remonty, wykończenia mieszkań i lokali - kompleksowo, naprawy hydrauliczne, elektryczne drobne naprawy 508-56-56-52, 81\740-03-99

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy, remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie kanalizacji, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

OGRODNICZE

WYCINKA drzew, podcinanie, porządkowanie działek, koszenie, usuwanie karp, wywóz gałęzi, odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 514-299-106

PORZĄDKOWE

SPRZĄTANIE piwnic, strychów, garaży, działek, domów po lokatorach i zmarłych, wywóz rzeczy, ubrań, gruzu, kucie, prace rozbiórkowe, odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 887-069-855

WYWÓZ złomu, sprzętu agd, rtv, gruzu, sprzętanie działek, piwnic, inne, rozbiórki domów, szklarni itp, odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 514-299-106

INNE

KOMPLEKSOWE uprzątnięcie, strychów, garaży, mieszkań, wywóz sprzętu AGD, złomu, gruzu, starych, zepsutych mebli, koszenie zaniedbanych działek kosą spalinową, rozdrabnianie gałęzi rębakiem, 530-373-641

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

ALA 50 lat. tel. 781-981-776

PAN 50 lat Bl. t.726-288-400

SANDRA, 885-213-554

**EKSPRESOWE
OGŁOSZENIA**
z dnia na dzień

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

GLAZURNIK solidny tel: 663-796-353

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapers.pl

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Przed tobą dzień sprzyjający działaniu i szybkim decyzjom. Horoskop dzienny radzi uważać jednak na słowa, bo ktoś może je źle odebrać.

Ryby (19.02 - 20.03)
Skup się na sprawach domowych. Horoskop na dziś wróży, że konsekwencja pomoże ci bardziej niż pośpiech.

Baran (21.03 - 19.04)
Rozmowy przyniosą ciekawe pomysły. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo jedna informacja może zmienić twoje plany.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą silniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny radzi nie brać wszystkiego do serca zbyt dosłownie.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Masz szansę zabłysnąć wśród znajomych. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że pewność siebie przyciągnie dobre okazje...

Rak (22.06 - 22.07)
Drobne obowiązki mogą się dzisiaj mnożyć, ale horoskop dzienny na piątek wróży, że dasz sobie radę. Wieczorem znajdź czas na odpoczynek.

Lew (23.07 - 22.08)
Relacje z ludźmi będą dziś kluczowe. Horoskop dzienny mówi, że szczerą rozmową pomoże uwolnić napięcie.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja poprowadzi cię we właściwym kierunku. Horoskop na dziś to wskazówka, by zaufać sobie, ale nie zdradzać wszystkich planów.

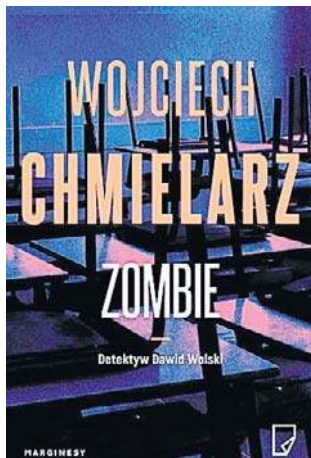
Waga (23.09 - 22.10)
Poczujesz potrzebę zmiany. Horoskop dzienny na piątek wróży, że krótka podróż lub nowy pomysł doda ci energii.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Skupienie na obranych celach przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że ktoś doceni twoją pracowitość i odpowiedzialność.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Kreatywność będzie twoją siłą. Horoskop na dziś to wskazówka, by nie bać się nietypowych rozwiązań, nawet jeśli zaskoczą innych.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Przed Tobą dobry dzień na porządkowanie myśli. Horoskop dzienny na piątek mówi, że spokój wewnętrzny pomoże podjąć decyzję.

CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW OPUBLIKUJEMY WKRÓTCE.



Wojciech Chmielarz „Zombie”

Adam Górnik to młody błyskotliwy prokurator, kochający żonę i troskliwy ojciec. Wzorowy obywatel. Jednak nosi w sobie przerażający sekret. Gdy miał piętnaście lat, zamordował szkolnego kolegę, chuligana i postrach innych uczniów. Zwłoki ukrył i zapomniał jak wszyscy. Wiele lat później Górnik, już jako prokurator, dostaje wezwanie na miejsce popełnienia morderstwa i jest przekonany, że wreszcie odkryto zwłoki jego ofiary. Teraz musi poprowadzić śledztwo we własnej sprawie i ostatecznie zatuzować zbrodnię. W dobrze zapamiętanym miejscu nie znajduje jednak ciała Korsarza, a zabita parę dni wcześniej dziewczynkę. Szczątki szkolnego kolegi zniknęły. Czyżby wrócił zza grobu, by się zemścić?

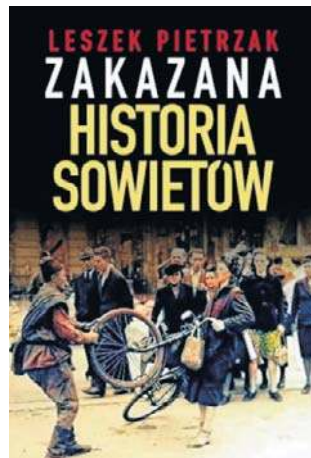
Marginesy



Piotr Trybalski „Bunt”

„Miejsce kobiet jest na szczycie” – brzmiało hasło amerykańskiej wyprawy na ośmiotysięczną Annapurnę. By się tam znaleźć, kobiety wspinające się w górach całego świata musiały pokonać nie tylko pionowe ściany i duże wysokości, ale też stereotypy i ograniczenia narzucone przez zdominowane przez mężczyzn, niekiedy skrajnie mizoginistyczne środowisko. Z czym się mierzyły? Co je determinowało? Jaką płaciły za to cenę? Tak książka to opowieść o losach kilkudziesięciu niezwykłych kobiet, które w górach dokonały rzeczy wybitnych. Od pierwszych przejść taternickich i alpejskich, przez sukcesy himalajskie pokolenia Wandy Rutkiewicz, po czasy współczesne.

Wydawnictwo Literackie



Leszek Pietrzak „Zakazana historia Sowietów”

Sowiety. Państwo najbardziej zbrodniczego eksperymentu w dziejach świata. Źródło antydekalogu, kolebka ludobójstwa, Imperium Zła. Toemotionalna opowieść o tym co działo się na wschodzie. Autor przypomina niechlubną przeszłość Sowietów i rolę, jaką odegrali w dziejach Polski i innych krajów Starego Kontynentu. Czasy się zmieniły, więc i metody, jakimi operują, musiały zostać unowocześnione. Ale mentalność sowiecka pozostała. W XX stuleciu, naznaczonym wojnami, Sowietci pokazali swoje zakłamanie i brak poszanowania jakichkolwiek zasad. A jak jest teraz? Szczególnie wiele krzywd wyrządzili nam, Polakom. Niektóre z tych ran pozostają niezabliźnione do dziś.

Frona



John Fowles „Kochanica Francuza”

Jedna z najgłośniejszych powieści Johna Fowlesa – historia zamożnego arystokraty, który porzuca narzeczoną i wiąże się z kobietą o wątpliwej reputacji. Ta banalna, jak się początkowo zdaje, opowieść przemienia się w pełną nieoczekiwanych zwrotów finezyjną zabawę literacką, z mnóstwem aluzji i przemyśleń odnoszących się wprost do naszej teraźniejszości. John Fowles (1926-2005) to jeden z najbardziej interesujących pisarzy angielskich. Międzynarodową sławę zyskał już debiutancką powieścią „Kolekcjoner”, a jego pozycje ugruntowały kolejne, m.in. „Mag”, „Mantissa” i „Kochanica Francuza”. Ta ostatnia doczekała się ekranizacji z Jeremym Ironsem i Meryl Streep w rolach głównych.

Rebis



Lottie Hazell „Świnka”

Błyskotliwa i pełna emocji powieść, o której The Guardian pisał: „debiut przesycony smakiem, klasą i ambicją”, a Financial Times – „błyskotliwą krytyką społecznych oczekiwań wobec kobiet”. Młoda redaktorka książek kulinarnych, z pozoru ma wszystko: narzeczonego, dom i przyszłość zaplanowaną co do detalu. Trzydzieści dni przed ślubem dowiaduje się jednak o zdradzie. Zamiast uciekać, postanawia dalej grać rolę idealnej kobiety – aż napięcie, które budowała przez lata, zaczyna ją dławić. Każdy rozdział to nowy akt perfekcyjnie zaplanowanej katastrofy. Lottie Hazell stworzyła portret współczesnej kobiety uwikłanej między apetytem na miłość a strachem przed utratą kontroli.

Mova

NASZE SMAKI

Czy wiecie, że dziś... święto rogalika? Najbardziej znane są francuskie croissants – na każdym rogu można spotkać małe i większe piekarnie, które oferują ten przysmak. A tymczasem historia rogalika zaczyna się... w Austrii jako upamiętnienie obrony przed tureckim oblężeniem Wiednia. Ile w tym prawdy – nie wiadomo. Wiadomo jedynie tyle, że w stolicy Austrii zajadać się dziś można (szczególnie podczas Bożego Narodzenia) ciasteczkami w kształcie półksiężyca, o smaku migdałów i wanilii. Warto też wspomnieć o rogalach świętomarcińskich z ciasta półfrancuskiego, z nadzieniem z białego maku, wanilii, cukru, orzechów, rodzynek, margaryny, skórki pomarań-

czowej i innych dodatków. Polacy zajadają się nimi 11 listopada. Rogaliki można przyrządzać na wiele sposobów. Zarówno na słodko, jak i wytrawnie. W wersji słodkiej, najczęściej z czekoladą lub owocami, idealnie pasują do porannej kawy.

Domowe rogaliki drożdżowe z serem

Składniki na ciasto drożdżowe
400 g mąki
30 g drożdży
200 ml mleka
3 łyżki cukru
1 jajko
50 g masła
szczypta soli
Składniki na masę serową



200 g sera białego
1 opakowanie cukru waniliowego
2 łyżki cukru
1 żółtko
50g masła

Dodatkowo
białko do posmarowania

Ciasto: W ciepłym mleku rozpuścić drożdże. Dodać łyżeczkę cukru i łyżeczkę mąki. Wymieszać i odstawić na 15 minut do wyrośnięcia. Mąkę przesiać do miski. Dodać rozczyn, jajko, cukier, sól oraz rozpuszczone masło. Wyrobić ciasto. Oprószyć mąką i odsta-

wić na 30 minut do wyrośnięcia. Masa serowa: Masło utrzeć z cukrem, cukrem waniliowym i żółtkiem. Dodać pokruszony ser i razem utrzeć. Wyrośnięte ciasto wyłożyć na stolnicę i podzielić na dwie części. Jedną z części rozwałkować tworząc okrąg. Ciasto pokroić na trójkąty. Na każdy kawałek ciasta nałożyć porcję masy serowej. Ciasto zwinąć w rogaliki. Z drugą częścią ciasta zrobić to samo co z pierwszą. Rogaliki posmarować białkiem i ułożyć na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia. Piec około 25 minut w temperaturze 180. **Przepis Katarzyny Jaworek, autorki bloga „Tradycyjna kuchnia Kasi”**

Polak dał sygnał do ataku. Real i Napoli mają czego żałować

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Gol Roberta Lewandowskiego stanowił przełom w meczu Barcelony z FC Kopenhagą, a wygrana zapewniła Katalończykom bezpośredni awans do fazy pucharowej Ligi Mistrzów.

Spotkanie 8. kolejki fazy ligowej Ligi Mistrzów z FC Kopenhagą było dla Barcelony niezwykle istotne. Drużyna z Lewandowskim w wyjściowym składzie i Wojciechem Szczęsnym na ławce nie mogła pozwolić sobie na porażkę, jeśli chciała zachować komfortową sytuację w tabeli.

A jak zaczęła? Najgorzej jak tylko się dało. Już w 4. minucie Duma Katalonii przegrywała po trafieniu Viktora Bjarkiego Dadasona. Szybko stracony gol wprowadził nerwowość, a na odpowiedź kibice musieli czekać do zmiany stron.

Przełom nastąpił tuż po wznowieniu gry. Lewandowski znakomicie odnalazł się w polu karnym po podaniu Lamine'a Yamala i z najbliższej odległości skierował piłkę do pustej bramki, doprowadzając do wyrównania. Dla kapitana reprezentacji Polski było to już 107. trafienie w Lidze Mistrzów oraz gol strzelony 40. rywalowi w historii jego występów w tych elitarnych rozgrywkach. Lewandowski mógł wpisać się na listę strzelców wcześniej, lecz w pierwszej połowie przegrał pojedynek z bramkarzem gości Dominikiem Kotarskim.

- W pierwszej połowie na stronę, na którą graliśmy, wiał bardzo silny wiatr. Pewnie w telewizji nie było tego widać, ale piłka strasznie wariowała. Chciałem uderzyć wyżej, ale obawiałem się, że wiatr znieśnie futbolówkę. Pewnie źle to rozwiła-



Choć nie był to najbardziej efektywny wieczór Roberta, to wycucie przestrzeni i inteligencja pozostają bezcenne...

łem. Gdybym strzelił bliżej słupka, piłka wpadłaby do bramki. Szkoda tej sytuacji, powinienem ją wykorzystać - tłumaczył Lewandowski po meczu, w rozmowie z Canal+ Sport.

Hiszpańskie media tradycyjnie uważnie przyjrzały się występowi Polaka. Kataloński „Sport” przyznał mu notę 6 w 10-stopniowej skali, podkreślając, że choć nie był to jego najbardziej efektywny wieczór, to wycucie przestrzeni i inteligencja w polu karnym pozostają bezcenne. „Mundo Deportivo” zwróciło uwagę na historyczny wymiar jego osiągnięć. Dziennik przypominał, że Lewandowski już wcześniej wyprzedził w statysty-

kach Cristiano Ronaldo, a teraz zrównał się z Leo Messim pod względem liczby klubów, przeciw którym zdobywał bramki w Lidze Mistrzów.

Srodowy gol pozwolił mu także doskoczyć do Neymara i Patricka Kluiverta w klasyfikacji najlepszych strzelców Barcelony w tych rozgrywkach. „W wieku 37 lat, mając u boku niezwykle utalentowanego Lamine'a Yamala, Lewandowski wciąż śrubuje rekordy zarezerwowane dla legend” - podkreślono.

Barcelona zakończyła fazę ligową na piątym miejscu, zdobywając aż 16 punktów i zapewniając sobie bezpośredni awans do 1/8 finału. Natomiast Real Ma-

dryt będzie musiał walczyć w dodatkowym dwumeczu. Symbolicznym momentem srodowej multigi był gol na 4:2 dla Benfiki Lizbona, gdy bramkarz Anatolij Trubin w ostatniej akcji zdobył bramkę głową, pokonując Thibaut Courtoisa. To trafienie wywołało euforię na Estádio da Luz i zapewniło drużynie José Mourinho fazę play-off.

Benfica o dalszą grę powalczy z jednym z dwóch europejskich potentatów - żądnym rewanżu Realem lub Interem Mediolan Piotra Zielińskiego, który wraz ze swoją drużyną pokonał Borussia Dortmund.

Z Ligą Mistrzów na etapie fazy ligowej pożegnali się m.in. mistrzowie Włoch (SSC Napoli), którzy przegrali u siebie z Chelsea Londyn 2:3.

W rozgrywkach pozostają także Polacy: bramkarz Mateusz Kochalski (Karabach Aghdam) i wahałowy Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo), choć ich ostatnie występy miały różny przebieg. Pierwszy puścił sześć goli przeciwko Liverpoolowi, a drugi przesiedział mecz na ławce.

Losowanie baraży o 1/8 finału dziś od godz. 12. Spotkania tej fazy zaplanowano na 17/18 i 24/25 lutego. Terminy 1/8 finału to 10/11 i 17/18 marca. ©

LIGA MISTRZÓW UEFA

Wyniki 8. kolejki: Ajax - Olympiakos 1:2, Monaco - Juventus 0:0, Arsenal - Kajrat 3:2, Athletic - Sporting 2:3, Atletico - Bodo 1:2, Barcelona - Kopenhaga 4:1, Bayer - Villarreal 3:0, Benfica - Real 4:2, Borussia - Inter 0:2, Club Brugge - Marsylia 3:0, Eintracht - Tottenham 0:2, Liverpool - Karabach 6:0, City - Galatasary 2:0, Napoli - Chelsea 2:3, PSV - Bayern 1:2, Pafos - Slavia 4:1, PSG - Newcastle 1:1, USG - Atalanta 1:0.

Rozstawienie przed losowaniem baraży: Real Madryt/Inter Mediolan - Bodo/Benfica, PSG/Newcastle - Monaco/Karabach, Juventus/Atletico - Club Brugge/Galatasaray, Atalanta/Leverkusen - Borussia Dortmund/Olympiakos.

Zieliński nie zagra w finale debla AO, ale zainkasował w Melbourne 354 500 zł

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Jan Zieliński w podłym nastroju opuścił Melbourne. Polak i Brytyjczyk Luke Johnson odpadli w półfinale debla w Australian Open.

W Melbourne polsko-brytyjski duet wyeliminował cztery przeszkody. Piąta okazała się jednak za silna. Po blisko dwugodzinnej batalii na korcie centralnym - Rod Laver Arenie - Jan Zieliński i Luke Johnson ulegli w półfinale Australijczykom Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi 2:6, 6:3, 3:6.

- Daliśmy przeciwnikom wejść sobie na głowę. Nie wykorzystaliśmy break pointa, który mógł dać nam powrót. Trochę pechowo ułożył się ten punkt - narzekał polski deblista w rozmowie z Eurosportem.

Z Johnsonem pierwszy raz zagrał w turnieju tej rangi i optymistycznie patrzy na następną miesięczną występów w parze z Brytyjczykiem.

- Na pewno nie jest to zły wynik - półfinał wielkoszlemowego turnieju w drugim wspólnym występie - ale dziś boli i będziemy wyjeżdżać, przynajmniej ja będę, bardziej zasmucony niż szczęśliwy - skwitował.

Za dojście do półfinału Polak i Brytyjczyk otrzymali 190 tysięcy dolarów do podziału, czyli po 95 tysięcy USD na głowę. Zieliński więc zarobił za udział w grze podwójnej mężczyzn turnieju w Melbourne niemal 300 tysięcy złotych plus 54,5 tys. zł za występ w pierwszej rundzie miksta z Tajwanką Hsieh Su-wei, z którą wygrał AO w 2024 roku. W pierwszym tegorocznym szlemie zainkasował więc 354 500 złotych brutto.

W deblu największym sukcesem tenisisty z Warszawy pozostaje finał Australian Open 2023, kiedy w parze z Monakijczykiem Hugo Nysem przegrali z Kublerem i jego rodakiem Rinkym Hijikata.

©



Jan Zieliński (u góry z prawej) i Luke Johnson ulegli w 1/2 finału debla AO Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi

Prognozy na PKO BP Ekstraklasę, nie tylko pogodowe

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Długo wydawało się, że mecze 19. kolejki nie będą zagrożone, ale zimowa aura skłania do rozważenia nie tylko optymistycznego scenariusza na piłkarski weekend w Polsce.

Nadchodzące dni zapowiadają się na bardzo mroźne w całym kraju. Kalendarz futbolowy w roku mundialu jest jednak mocno napięty i nie ma możliwości, żeby piłkarze Ekstrak-

klasy nie wybudzili się z zimowego snu już teraz.

Prezes Pogoni Szczecin Alex Haditagli domagał się odwołania wszystkich meczów, ale dyrektor operacyjny spółki Ekstraklasa Marcin Stefański dał jasną wykładnię obowiązujących przepisów. - Jest ogólne zalecenie, że jeżeli temperatura spadnie poniżej -15 stopni, a odczuwalna poniżej -27 stopni, to mecze co do zasady nie powinny być rozgrywane w takich warunkach - powiedział w „Przeglądzie Sportowym”.

Prognozowane temperatury w porach weekendowych meczów 19. kolejki PKO BP Ekstraklasa:

piątek:
Lublin: -1st. C (odczuwalna -6 st. C),
Radom: -8 (odczuwalna -14).

sobota:
Zabrze: -4 (odczuwalna -12),
Łódź: -10 (odczuwalna -19),
Poznań: -10 (odczuwalna -19).

niedziela:
Lublin: -13 (odczuwalna -18),
Płock: -13 (odczuwalna -19),
Warszawa: -13 (odczuwalna -19).

Zakładając, że wszystkie spotkania odbędą się zgodnie

z planem i ewentualne problemy z terminowym rozegraniem zimowych kolejek nie zaburzą rytmu rozgrywek, bukmacherzy - którzy rzadko myślą się przy takich typowaniach - przed startem rundy wiosennej na głównych faworytów do mistrzostwa Polski wskazali broniący tytułu Lech Poznań i wicemistrza z poprzedniego sezonu - Raków Częstochowa.

Według tego grona ekspertów realne szanse na tytuł ma jeszcze białostocka Jagiellonia, nie zaś przewodząca aktualnie

w tabeli Wisła Płock oraz Górnik Zabrze, których notowania na rundę rewanżową są znacznie niższe. Inna sprawa, że przed startem sezonu także (prawie) nikt nie stawiał na „Nafciarzy” i KSG...

Zdaniem bukmacherów najbardziej realny jest spadek ostatniej w tabeli Termaliki Bruk-Bet Nieciecza. Mająca tyle samo punktów - 19 - Legia Warszawa, mimo słabej jesieni, nie jest rozpatrywana jako kandydat do opuszczenia grona ekstraklasowiczów. Wszystko wyjaśni się 23 maja.

Godzinowy program pierwszej tegorocznej serii spotkań:

piątek, 30 stycznia:
18:00 Zagłębie Lubin - GKS Katowice,
20:30 Radomiak Radom - Arka Gdynia.

sobota, 31 stycznia:
14:45 Górnik Zabrze - Piast Gliwice,
17:30 Widzew Łódź - Jagiellonia Białystok,
20:15 Lech Poznań - Lechia Gdańsk.

niedziela, 1 lutego:
12:15 Motor Lublin - Pogoń Szczecin,
14:45 Wisła Płock - Raków Częstochowa,
17:30 Legia Warszawa - Korona Kielce.

poniedziałek, 2 lutego:
19:00 Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Cracovia.
©

SPORT

www.sportowy24.pl

Monika Skinder gotowa do igrzysk: „Nie narzucam sobie miejsc”

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

ROZMOWA. **Monika Skinder, 24-letnia biegaczka narciarska MULKS Grupa Oscar Tomaszów Lubelski, będzie jedyną reprezentantką woj. lubelskiego podczas zimowych igrzysk olimpijskich.**

Jak się czujesz? Wyniki (choćby 29. miejsce w Tour de Ski) pokazują, że jesteś w dobrej formie.

Taki był cel, żeby na igrzyska przygotować jak najlepszą dyspozycję. Z kolejnymi startami widać, że się rozkręcam, a wyniki są coraz lepsze. Wiem, że to będą udane igrzyska.

Intensywne. Wystartujesz w skiatlonie (bieg łączony 2x10 km), sprincie indywidualnym, sprincie drużynowym, biegu indywidualnym na 10 km i w sztafecie 4 x 7,5 km.

A jeszcze start na najdłuższym dystansie (50 km - przyp. red.), jest pod znakiem zapytania.

Z jakimi konkurencjami wiążeś największe nadzieje? Ze sprinterskimi.

Sprint indywidualny czy drużynowy? Który ważniejszy? Obydwa tak samo ważne, bo w obydwa będę reprezentowała Polskę.

Celem jest wypaść lepiej niż na poprzednich igrzyskach



FOT. ARCHIWUM: ANDRZEJ BANAS/POLSKA PRESS

w Pekinie? Tam najlepszym miejscem w drużynie było 9., a indywidualnie 49.

To taka podstawa, żeby poprawić swoje rezultaty. Mam też inne cele, ale nie chcę niepotrzebnie nakładać na siebie dodatkowej presji. Dlatego nie narzucam sobie miejsc. Po prostu chcę być jak najlepiej przygotowana, a wynik przyjdzie sam.

Teraz ślubowanie, a później pierwszy start, 7 lutego. Jak będą wyglądały najbliższe dni?

Od tygodnia jestem we Włoszech, więc moje ślubowanie odbędzie się już w wiosce olimpijskiej. Z Toblach, gdzie przebywam, udamy się do Val di Fiemme. W przededniu igrzysk chcieliśmy ograniczyć kontakty, unikać zbędnych lotów, a skupić się na treningach. ©©

SIATKÓWKA

Bogdanka LUK Lublin z czwartym triumfem w Lidze Mistrzów Lublinianie w konfrontacji z belgijskim Roeselare wykazali się ogromną wolą walki. Przegrywali już 0:2, a mimo to potrafili odwrócić losy pojedynku i zwyciężyć 3:2. Była to ch czwarta wygrana w czwartym meczu. Na dwie kolejki przed końcem fazy grupowej mistrzowie Polski są o krok od ćwierćfinału. A pojutrze w PlusLidze zagrają w gościach z Resovią Rzeszów (godz. 14:45).



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

PIŁKA RĘCZNA MKS wygrał w Koberzycach Szcypiornistki PGE MKS El-Volt Lublin w 17. serii ORLEN Superligi Kobiet pewnie pokonały na wyjeździe KPR Gminy Koberzyce 32:24, odnosząc jedenaste ligowe zwycięstwo z rzędu.

PIŁKA NOŻNA



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

BARTOSZ WOLSKI ZOSTAJE W MOTORZE. KAPITAN PODPISAL NOWY KONTRAKT

Kapitan zostaje w Motorze Lublin. Bartosz Wolski podpisał nową umowę z żółto-biało-niebieskimi. Będzie obowiązywała do końca sezonu 2027/28. – Cieszę się, że zostaję w Motorze. To nie tylko klub, to również mój dom. Przeżyłem tu jedno z najważniejszych chwil w mojej karierze, a najlepsze dopiero przed nami. Moim marzeniem związanym z kolejnymi dwoma latami w Motorze na pewno byłoby wejście do europejskich pucharów – mówi Wolski, cytowny wany przez klub z Lublina, barw którego broni od sezonu 2023/24. W koszulce Motoru wystąpił do tej pory 89 razy. Strzelił 11 bramek i zanotował 17 asyst.

W ciągu swojego 2,5-letniego pobytu w Lublinie opuścił dotychczas tylko trzy spotkania. Jak donosił portal weszlo.com, Wolski był blisko transferu do innej ekstraklasowej ekipy GKS Katowice. Temat upadł jednak na ostatniej prostej i kapitan zdecydował się na przedłużenie umowy z dotychczasowym pracodawcą. (JS)

Motor zagra z Pogonią. Boisko gotowe na mróz

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

PIŁKA NOŻNA. W niedzielę (godzina 12:15) lubelscy piłkarze zaczną drugą część sezonu. Ich pierwszym rywalem będzie Pogoń Szczecin.

Jakim rywalem Portowcy? – Na pewno jest to zespół, który lubi grać szybko, ofensywną piłkę. Myślę, że to jest dobry dla nas mecz na otwarcie – powiedział klubowym mediom Mateusz Stolarski, trener Motoru. – W Ekstraklasie nie ma spotkań ze słabymi rywalami. Każdy jest bardzo wymagający i Pogoń też takim będzie, ale mamy swoje argu-

menty, które będziemy chcieli zaprezentować – dodał szkoleniowiec.

Przygotowania do ligi

Motor miał trzy tygodnie wolnego, po których drużyna na wspólnym treningu spotkała się 5 stycznia. W pierwszym tygodniu Lublinianie przebywali na miejscu, a zwieńczeniem tego mikrocyklu było spotkanie kontrolne z drugoligową Stalą Stalowa Wola, wygrane 5:1.

Nazajutrz Motor udał się do Turcji, gdzie spędził dwa tygodnie. W Belek odbył się jeden sparing, zakończony zwycięstwem 5:1 z serbskim IMT Novi Belgrad.

Mróz nie przeszkodzi?

Na niedzielę prognozowane są w Polsce duże mrozy. – Piłkarze i kibice nie powinni być zmuszani do gry w temperaturach -15, -20 stopni Celsjusza. Powrót do gry tydzień później żadnego z klubów nie skrzywdzi – napisał we wtorek na portalu X Alex Haditagli, właściciel Pogoni Szczecin.

Inną kwestią jest ta dotycząca murawy na Motor Lublin Arenie: czy wystawiona na takie mrozy będzie nadawała się do gry? – Murawa jest stale podgrzewana i na ten moment umożliwi rozgrywanie spotkań – przekazała nam w środę Aleksandra Romańska, rzeczniczka MOSiR Bystrzyca. ©©



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

Po pierwszej części sezonu Motor i Pogoń mają na swoim koncie po 21 punktów



FOT. AVIA ŚWIDNIK/FACEBOOK

Patryk Małecki przypieczętował awans do 1/4 finału, ale w nim go zabraknie

To pewne. Gwiazda Avii będzie pauzować

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

PIŁKA NOŻNA. W marcu (3 lub 4) Avia Świdnik zmierzy się z Rakowem Częstochowa, w ramach 1/4 finału STS Pucharu Polski. W składzie trzecioligowca zabraknie Patryka Małeckiego.

– Klub podjął odpowiednie kroki, aby wyjaśnić sytuację, ale decyzją sędziego z boiska o pokazaniu żółtej kartki, została utrzymana w mocy – przekazał nam Michał Jackow-

ski z klubowego działu Public Relations.

Wspomniana kartka to efekt sytuacji z ostatnich sekund spotkania 1/8 finału z Polonią Bytom. Wynik na 4:2 w doliczonym czasie gry ustalił Małecki, który wprawił w stan euforii kibiców zgromadzonych na stadionie. W euforii był też sam zawodnik, a celebrując radość wspiął się na ogrodzenie i utonął w objęciach fanów, za co został napomniany przez arbitra kartonikiem. Była to jego druga kartka w tej edycji PP,

co skutkuje pauzą w kolejnym spotkaniu.

W „Przepisach gry” znajduje się fragment pt. „Fetowanie zdobywcia bramki”. Według jego zapisów, zawodnik musi zostać ukarany napomnieniem, nawet gdy bramka zostaje nieuznana, jeżeli:

- wspina się na ogrodzenie i/lub zbliża się do kibiców w sposób naruszający bezpieczeństwo/porządek,
- wykonuje prowokacyjne, szydercze, względnie podburzające działania,

- zakrywa głowę lub twarz maską lub innym podobnym przedmiotem,
- zdejmuje koszulkę, względnie zakłada ją na głowę

Piszą historię klubu

Dla zespołu z „Lotniczego Miasta”, prowadzonego obecnie przez trenera Wojciecha Szaconia, ćwierćfinał PP jest drugim w historii. Wcześniej świdniczanie znaleźli się w najlepszej ósemce tych rozgrywek 40 lat temu, w sezonie 1985/86. Wówczas lepsza okazała się Pogoń Szczecin. ©©